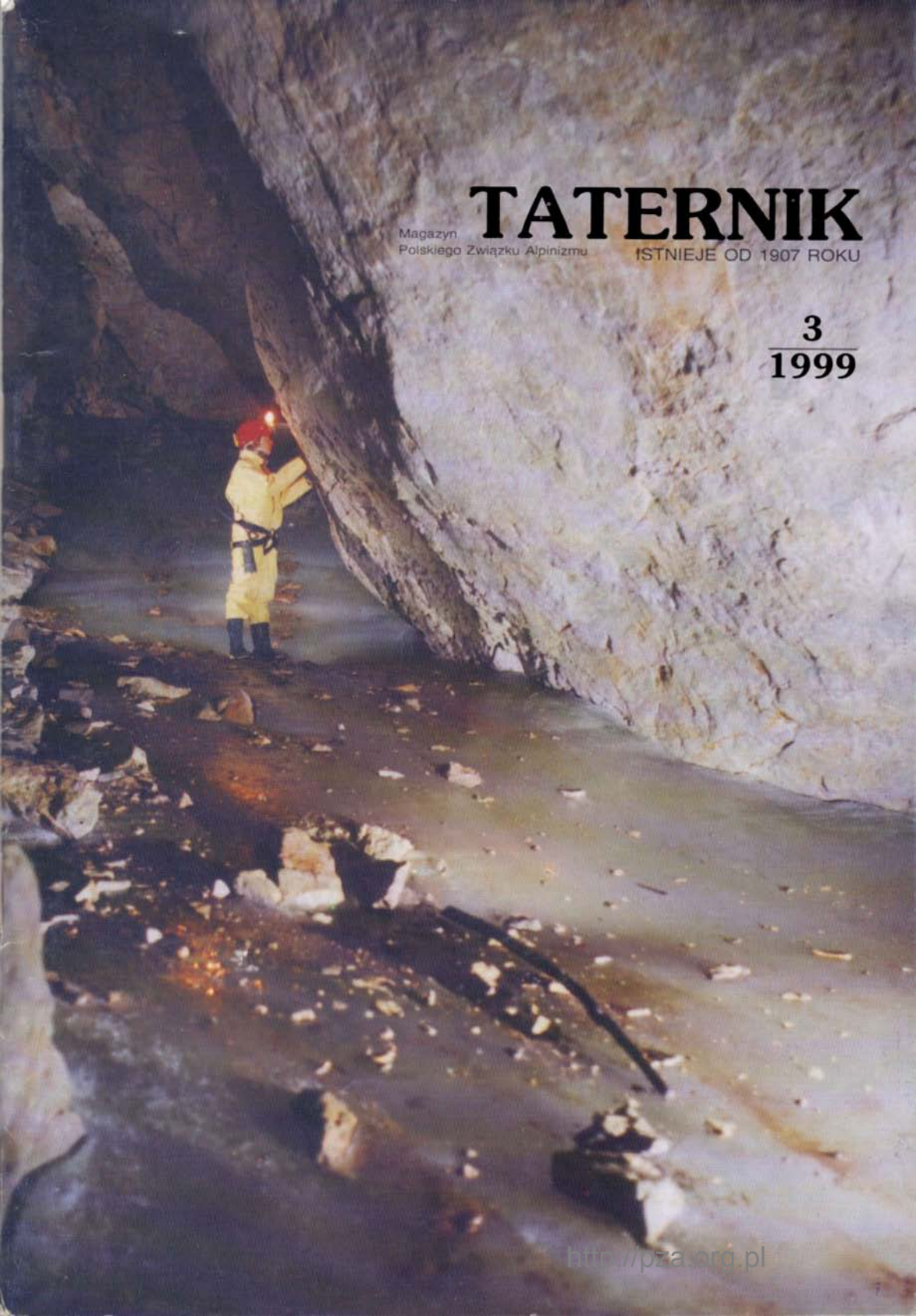


TATERNIK

Magazyn
Polskiego Związku Alpinizmu

ISTNIEJE OD 1907 ROKU

3
1999



Spis treści

PZA – dlaczego? jak?	1
Propozycja współpracy	2
Kedar Dome – wschodnia ściana	3
Jeszcze raz Kongur Shan?	5
Jak zdobyć Pik Lenina AD 1999	9
Marcin na Mt McKinley	11
Yosemite – podróż sentymentalna ...	11
Nowości z kongresu UIAA	12
Wywiad z Bogumiłem Słomą	14
Direttissima płn. ściany Mięguszowieckiego Szczytu	24
Kurnik	26
Nowe drogi	28
Suplement do „Asekurujemy i jedziemy”	30
Pożegnania	31
Listy	33
50 lat Klubu Wysokogórskiego w Katowicach	34
Nauka haczenia	34
Jaskinie i speleologia	35
Po czym się wspinamy	36
Więści organizacyjne	39

Zdjęcie na okładce: W Jaskini Lodowej w Ciemniaku.

Fot. Paweł Krzyszkowski

Zdjęcie obok: W tatrzańskiej ciepłej skale.

Fot. Andrzej Kłos

ISSN 01373155

<http://pza.org.pl>



Andrzej Paczkowski

PZA – dlaczego? jak?

Nigdy jeszcze nie pisałem wspomnień. Być może dlatego, że nie mam dobrej pamięci do tego, co sam przeżyłem, choć oczywiście dysponuję niezłą (póki co) pamięcią „papierową”, czyli do tego, co przeczytałem. Obawiam się więc, że poniższy wywód będzie raczej przypominał referat na konferencję niż pogaduchy o dawnych – a więc z natury rzeczy dobrych – czasach.

Najpierw może o tym „dlaczego”

Było kilka powodów. Od połowy lat 60. wspinacze podzieliili się organizacyjnie. Obok tradycyjnego Klubu Wysokogórskiego (KW), z kilkunastoma kołami terenowymi, powstały: Polski Klub Górski (PKG) przy jednej z federacji sportowych, która należała z kolei do „pionu sportowego związków zawodowych” oraz Federacja Akademickich Klubów Alpinistycznych (FAKA) działająca przy Zrzeszeniu Studentów Polskich. Dlaczego ten podział nastąpił, trzeba by pewnie napisać osobną historię, w której ambicje osobiste oraz chęć zdobycia pieniędzy na wspinanie (a potrzeba ich było coraz więcej od kiedy zaczęły się wyjazdy „w egzotyki”) odgrywałyby główną rolę. Niezależnie od powodów stan ten nie podobał się władzom sportowym, do których co i raz zwracano się w imieniu różnych organizacji o pieniądze. Np. na rok 1974 zaplanowane były dwie „wyprawy narodowe” – PKG na Kangbachen i KW na Lhotse. Sport, tak jak i całe państwo, był mocno scentralizowany i w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Turystyki (GKKFiT) nie wiedziano jak sobie z tym radzić. Uznano więc, iż należy doprowadzić do powstania struktury panującej nad całym ruchem taternickim. Być może działania w tym kierunku zostały przyspieszone w związku z wypadkiem na Żabim Mnichu, który odbił się głośnym echem w prasie, wywołał liczne nieprzyjemne, a nawet nieprzyjemne komentarze pod adresem środowiska taternickiego. Słowem:

należało „zaprowadzić porządek”, co miało „poprawić stan bezpieczeństwa” (gwoili sprawiedliwości trzeba przypomnieć, że bywały lata kiedy ginęło – w samych Tatrach – do 10 wspinaczy).

Mniej więcej w tym samym czasie nasz ukochany Tatrzański Park Narodowy popadł w pierwsze stadium „taternikowstrętu”. Uważano, że wspinacze – których liczba rzeczywiście szybko rosła – rozłupią Tatry na luźne bloki, zeżrą wszystkie kozice i zerwą wszystkie egzemplarze arcydzieła, uniemożliwiając leśnikom sporządzanie ich ulubionego napoju. Toteż TPN postanowił ograniczyć liczbę osób, które mogą się wspiąć (stąd się wzięła „Karta taternika”). Do tego wszakże potrzebna była jedna organizacja, w dodatku taka, która obejmowałaby również grotolazów, którzy byli szczególnie źle widziani przez TPN. A grotolazi obok KW zrzeszeni byli także w klubach PTTK oraz akademickich.

Były także względy wewnętrzne, wynikające ze struktury samego KW. Otóż Klub jako organizacja ogólnopolska otrzymywał dotacje z GKKFiT, które nigdy nie były wystarczające, a w związku ze wspomnianymi wyprawami stawały się relatywnie coraz bardziej skąpe. Koła KW nie miały osobowości prawnej, były de jure sekcjami terenowymi i w związku z tym nie mogły otrzymywać stałych dotacji od władz lokalnych, które posiadały fundusze na sport. Tak więc KW, który zrzeszył pewnie 90% taterników (i znaczną część grotolazów), po prostu dusił się. Jedyным wyjściem wydawało się przekształcenie kół w samodzielne organizacje, które mogłyby otrzymywać środki ze źródeł lokalnych.

A teraz o tym „jak”

Sądzę, iż dzięki tej zbieżności interesów reorganizacja została przeprowadzona stosunkowo szybko i sprawnie. Jesienią 1973 r. zaczęły się

różnego rodzaju rozmowy i przymiarki, przy czym Zarząd Główny KW wziął na siebie ciężar przygotowań. Podyktowane to było także naszą obawą, iż jeśli się nie włączymy, to możemy powstać struktura, która będzie niekorzystna dla Klubu (i kół), przez co rozumieliśmy, rzecz jasna, że tym samym będzie niekorzystna dla polskiego alpinizmu. Wedle notatki w „Taterniku” 23 listopada 1974 r. prezes ZG KW Antoni Janik i niżej podpisany jako wiceprezes ds. sportowych przeprowadzili zasadnicze rozmowy w GKKFiT. Kompletnie nic z tego spotkania nie pamiętam. Obją mi się po głowie tylko to, że i wcześniej, i później na każdym zebraniu Zarządu całymi godzinami debatowaliśmy nad różnymi propozycjami. Stosunkowo łatwo uzgodniliśmy, że najlepszą formułą będzie struktura federacyjna, która niejako na starcie będzie miała kilkunastu członków w postaci dotychczasowych kół KW. Problemem jednak był np. wymóg prawny, iż stowarzyszenie o charakterze federalnym musi zostać założone przez trzy podmioty, a przecież kluby nie miały jeszcze osobowości prawnej i bez zgody GKKFiT by jej nie otrzymały. Była to chyba jedna z najbardziej delikatnych operacji, ale koniec końców uzgodniono, iż obok KW założycielami będą PTTK i ZSP. De facto PZA powstał jednak na mocy decyzji Walnego Zjazdu Delegatów Klubu Wysokogórskiego, który zresztą odbył się (2-3 marca 1974 r.) – o ile pamiętam – w statutowym terminie. Inną sprawą, która przysporzyła kłopotów (i wiele godzin debat), ale już o charakterze wewnętrznym, był „problem jamników jaskiniowych”, tym trudniejszy, iż proporcje w tym środowisku były jednak modus vivendi w postaci przyznania, iż do władz Związku kandydować będą koledzy z FAKA i grotolazi

z „pionu” PTTK. Ale, oczywiście, nikt nie mógł zagwarantować, że zostaną wybrani.

Nie brakowało głosów sceptycznych, a nawet protestów przeciwko „zagubieniu wspaniałej tradycji”.

Ważna była rola jaką odegrał „gość” zjazdu Adam Izydorczyk, dyrektor departamentu, któremu w GKKFiT podlegało taternictwo. Przekonywał on delegatów, że nie tylko nic złego się nie stanie, ale że reorganizacja otwiera nowe możliwości przed polskim alpinizmem. Nawiasem mówiąc GKKFiT wywiązał się z obietnic, kierując (16 lipca) pismo do wojewodów i prezydentów miast wydzielonych w sprawie wspierania byłych kół KW. Agitacja była tak skuteczna, że „za” głosowało 56 delegatów, przeciwko było dwóch, a wstrzymało się pięciu.

Zjazd miał uroczystą oprawę, gdyż połączony był ze stuleciem Towarzystwa Tatrzńskiego, które było „macierzą” wszystkich polskich wspinaczy. Może ktoś z lepszą pamięcią przypomni jakieś pikantne lub ciekawe szczegóły, bo ja pamiętam tyle tylko, że atmosfera była napięta, debaty gorące i inaczej niż zwykle po pokojach gadało się częściej o reorganizacji niż „koszeniu przewiech”. Ale litworówka wchodziła (wpływała) dobrze jak zawsze.

I to by było na tyle

Jako facetowi, który przez następne 21 lat prezesował, nie wypada mi przecież oceniać „Pezety”. Wydaje mi się wszakże, że firma ta raczej spełnia nadzieje pokładane w niej przed ćwierćwieczem. No, może tylko część. Na pewno natomiast nie spełniły się czarne wizje przeciwników jej powstania.

Propozycja współpracy

Do redakcji Taternika nadszedł list z Bystrzycy nad Wagiem (Považská Bystrica) ze Słowacji, z tamtejszego Klubu Wysokogórskiego. Nadesłał go Štefan Holko. Wspinacze ze Słowacji proponują współpracę zainteresowanym klubom i wspinaczom z Polski. Bystrzyca leży 30 kilometrów od Żyliny. Klub Wysokogórski ma własną salę gimnastyczną ze ścianką wspinaczkową. Niedaleko są najlepsze, jak pisze Štefan Holko, tereny wspinaczkowe na Słowacji, z wielką ilością zrobionych i nie zrobionych dróg. Na miejscu są możliwości noclegowe. Wspinacze z Bystrzycy proponują zainteresowanym kontakty skałkowe, z możliwością rozwinięcia współpracy na góry wyższe.

Štefan Holko, Zákvašov 1518/51-7, 017 01 Pov. Bystrica
Tel. 00421 822 4362035 wieczorem
Fax 00421 822 324743
Mail: tena@px.psg.sk



Janusz Gołąb w ścianie

tura nie przekraczała 0 stopni C. To był koniec dobrej pogody. Przez kolejne dni wspinaliśmy się w opadzie śniegu. Nie mieliśmy zresztą innego wyjścia. Kończyło się jedzenie. Nasz jadłospis to: menażka musli na śniadanie (na trzy osoby), paczka makaronu z sosem i zupka – gorący kubek na obiad. Do tego herbata, a w ciągu dnia batonik czekoladowy.

Po 13 dniach wspinania połączyliśmy się z drogą węgierską na krawędzi ściany. Do końca trudności zostały nam wtedy cztery wyciągi łatwej skały

Polscy alpinści – Jacek Fluder, Janusz Gołąb i Stanisław Piecuch – pokonali jedną z najtrudniejszych ścian himalajskich, dotychczas niezdobytą wschodnią ścianę szczytu Kedar Dome w Himalajach Garhwalu liczącego 6800 metrów wysokości. Polscy alpinści, znani wcześniej z pierwszych przejść zimowych najwyższych ścian alpejskich i gór Norwegii, a także z pokonania skalnej iglicy Cerro Torre w Patagonii, tym razem zmierzili się z dziewiczą, mo-

i kilka godzin śnieżnej grani do szczytu. Przy dobrych warunkach można to przejść w osiem godzin. Niestety, przez ostatnie dni sporo padało i znacznie się ochłodziło. Zza grani zaczęły wypływać czarne chmury zwiastujące kolejne załamanie pogody. Tego dnia na śniadanie zjedliśmy ostatnią zupkę, skończyła się też herbata. Mieliśmy pełną świadomość, że idąc do góry, ryzykujemy przy tej pogodzie co najmniej jeszcze jeden biwak. Po dyskusji zrezygnowaliśmy z wejścia na szczyt i rozpoczęliśmy zjazd drogą węgierską. O godzinie 17 stanęliśmy pod ścianą i tak po 14 dniach zakończyła się nasza epopeja. Myśleliśmy wtedy tylko o tym, żeby się wreszcie najeść i trafić w jakieś cieplejsze miejsce.

Sprzęt

- liny 450 m
- haki 40 sztuk
- spity 39 sztuk
- jedynki 19 sztuk
- haki specjalne 10 sztuk
- ekspresy 26 sztuk
- karabinki 30 sztuk
- frendy 19 sztuk

Żywność

- makaron z sosem 10 paczek
- zupki „gorący kubek” 40 torebek
- batoniki, po 15 sztuk na osobę
- Izostar 2 puszki
- herbata i słodzik

Palnik „Stormy” do Blueta i palnik zawieszany Colemana, 2 kg gazu.

Trudności drogi VIII, A3+

Długość ściany około 1500 m, krawędź ściany na wysokości 6200 m n.p.m.

nolityczną ścianą Kedar Dome. Wspinaczka trwała 14 dni non stop, dziennie udawało się pokonać co najwyżej 50-80 metrów skrajnych trudności skalnych. Efektem zmagañ jest pokonanie jednej z najtrudniejszych ścian w Himalajach. Jest to jedno z najwybitniejszych polskich osiągnięć alpinistycznych ostatnich lat. Współorganizatorem wyprawy był Polski Związek Alpinizmu.

JESZCZE RAZ KONGUR SHAN?

Ten szczyt interesował mnie od dawna, intrygował swoją niedostępnością i tajemniczością. Najwyższy szczyt Pamiru o wysokości 7719 m, położony w jednym z najbardziej dzikich i odludnych miejsc w Azji w Xinjiagu, autonomicznym regionie w Chinach, na skraju rozległej pustyni Takla Makan, w otoczeniu wielkich łańcuchów górskich Kunlun i Karakorum, był dla mnie prawdziwym wyzwaniem. U podnóża tej góry wiódł od tysiącleci legendarny Jedwabny Szlak, tędy wędrowali: kupiec wenecki Marco Polo, jezuita Benedict de Goez, szwedzki badacz Sven Hedin. Piękną kartę w poznaniu tego zakątka ziemi zapisał wyśmienity polski badacz i podróżnik Bronisław Grąbczewski, który w latach 1885-89, będąc kapitanem w służbie rosyjskiej, dokonał wielu podróży naukowo-badawczych w Pamirze, Hindukuszu, Kunlun i Karakorum.

Kongur Shan jest sam w sobie wielkim, rozległym, skomplikowanym masywem górskim, który odstrasza alpinistów wielkimi śnieżno-lodowymi ścianami, barierami seraków i długimi graniami. Jest to po prostu trudna góra, o zdobywanie której nie pokusiło się zbyt dużo wspinaczy. Pierwszą poważną próbę podjęli alpinisci radzieccy w 1956 roku, ale wycofali się dość szybko, napotykając duże trudności techniczne.

Chińczycy nawet nie próbowali.

Dopiero w 1980 roku pod górą pojawili się Brytyjczycy, traktując górę poważnie, przeprowadzili wszechstronny rekonesans. Rok później silna brytyjska wyprawa pod kierownictwem Michaela Warda zdobyła wierzchołek od zachodu, na szczycie po ciężkiej walce stanęli: Peter Boardman, Christian Bonington, Alan Rouse i Joseph Tasker.

W tym samym 1981 roku z górą zmierzili się Japończycy, pierwsza ich próba zakończyła się tragicznie, na północnej ścianie zaginęło trzech wspinaczy. Japończycy się nie poddali i w 1989 znów pod północną ścianą przybyła wielka dwudziestoduosobowa wyprawa, która wykorzystując w czerwcu i lipcu okres długotrwałej dobrej pogody, po długim oblężeniu zdobyła wierzchołek nową drogą.

Amerykani próbowali w 1983 roku, wytyczyli nowy wariant na północnej ścianie, ale wierzchołka nie osiągnęli. Bardzo silna ekipa rosyjska usiłowała zdobyć wierzchołek rok temu, niestety, nie dała rady.

Co prawda w rejonie Kongur Shan w ostatnim czasie trochę się zmieniło. W latach 1966-1986 zbudowano z wielkim wysiłkiem i z wielkimi ofiarami wysokogórska drogę Karakorum Highway, wiodącą z Kaszgaru w Chinach do Islamabadu w Pakistanie. Droga ta biegnie u podnóża Kongur Shana i dostęp do dolin otaczających górę znacznie się ułatwił. Mimo tego nie ma chętnych na zdobywanie Kongur Shana, tuż obok znajduje się inny pamiński olbrzym Mustagh Ata o wysokości 7546 m, na który co roku wchodzi kilkudziesięciu alpinistów, bo zdobycie góry jest stosunkowo proste; idzie się tam po prostu po wielkich śnieżnych polach.

Impuls do zorganizowania wyprawy dał Marcin Pius z Częstochowy. Marcin przez dwa lata, jako stypendysta Ministerstwa Edukacji Narodowej, uczył się języka chińskiego w Chinach. Czas ten wykorzystał oczywiście na podróże po Chinach (po to między innymi tam pojechał) i na nawiązanie szeregu kontaktów z tamtejszymi organizacjami alpinistycznymi. Penetrując z różnymi, niesamowitymi przygodami Sinciang, zapoznał się z rejonem masywu Kongur Shan. Znajomość przez Marcina języka chińskiego i mechanizmów chińskiej administracji okazała się bezcenna w trakcie przygotowań i trwania wyprawy.

Po niemal dwuletnich przygotowaniach, po różnych przetasowaniach personalnych, wyłonił się ostateczny skład wyprawy pod egidą Polskiego Związku Alpinizmu. Kierowania wyprawą podjął się znany alpinista Krzysiek Treter z Częstochowy, posiadający piękny, wieloletni sportowy dorobek tak alpejski, jak i himalajski. Krzysiek zaprosił do udziału w wyprawie wspinaczy, których znał i z którymi się wspinał, posiadających odpowiednie wysokogórskie kwalifikacje.

Ostatecznie w wyprawie wzięli udział: Krzysztof Treter z Częstochowy – kierownik wyprawy, Piotr Alchimowicz – lekarz z Gdańska, Michał Kochańczyk

czyk z Gdańska – zastępca kierownika, Marcin Kacperek z Zakopanego, Wiesław Madejczyk z Warszawy, Marcin Pius i Tomasz Sowiński z Częstochowy. W wyprawie również wziął udział Jakub Alchimowicz – syn Piotra. Michał Kochańczyk wyruszył na wyprawę także w charakterze kamerzysty, z zamiarem realizacji filmu o wyprawie, produkcji którego podjęto się Studio Video Gdańsk.

Po pokonaniu wielu przeszkód biurokratycznych, a głównie finansowych, wylecieliśmy z kraju 29 czerwca do Islamabadu w Pakistanie. Szczęśliwi, wcześniej wystaliśmy pół tony naszego bagażu, mając w ręku potwierdzenie z British Airways na przesyłkę carga w czerwcu do Pakistanu.

Alpinizm jest sztuką cierpliwości, toteż nauczyliśmy się jej w Rawalpindi, mieście bliźniaczym Islamabadu – stolicy Pakistanu, gdzie przez dwanaście dni w czterdziestostopniowym upale czekaliśmy na bagaż, który zaginął gdzieś na przepastnym lotnisku w Heathrow w Londynie. Nie czekaliśmy bezczynnie; Marcin Pius i Tomek zaczęli okupować tamtejszy oddział carga British Airways, pakistańscy pracownicy starali się jak mogli, naciskali na kolegów w Londynie i wieczorami Marcin i Tomek przynosili do hotelu z dumą potwierdzenia na piśmie o wysyłce bagażu, które okazywały się bez pokrycia. Napieraliśmy jak tylko się dało na biuro British Airways w Warszawie, wszyscy byli bardzo uprzejmi. Ale cóż z tego, bagaż nie nadchodził.

I w końcu chyba interwencja mediów okazała się skuteczna, telefony z „Dziennika Bałtyckiego” i Studia Video Gdańsk widać podziały, bo bagaż naraz się odnalazł.

Nie ukrywam, oczekiwanie w takim upale, w nie klimatyzowanym hotelu nie podreperowało naszej kondycji, nie mówiąc już o znacznym nadwyrężeniu kasy wyprawy.

Z wielkim pośpiechem, by nadrobić stracony czas, pojechaliśmy wynajętym busikiem Karakorum Highway w stronę Chin.

Przemierzyłem w życiu kawał świata, bywałem w wielu interesujących zakątkach naszej ziemi, ale urok tej drogi rzuca na kolana. Jest to 1200-kilometrowa kręta droga wykuta, wyrębana w skale, wiodąca w przepaścistych dolinach nad rwącymi wielkimi rzekami przez Himalaje, Karakorum Pamir, u stóp siedmio- i ośmiotysięcznych szczytów.

Jazda tą drogą to przygoda dla ludzi o mocnych nerwach, pakistańscy kierowcy popisywali się swoją brawurą, nie raz, nie dwa koła naszych pojazdów buksowały tuż nad kilkusetmetrowymi przepaściami. Dodatkową atrakcją i przeszkodą były lawiny błotne i kamienne, które zawały drogę i cudem

jakims, przedzierając się tuż nad krawędzią, omijały trudności na drodze.

Po czterech dniach wyczerpującej jazdy 16 lipca dotarliśmy do Kaszgaru. Po drodze była przykra niespodzianka. Transport między posterunkami granicznymi w Sost w Pakistanie i w Taskurganie w Chinach jest opanowany przez monopolistów. Nie udało się wymyślnie wybiegi, musieliśmy sporo zapłacić za pokonanie tego odcinka z najwyżej położonym przejściem granicznym na świecie na przełęczy Kundżerab na wysokości 4733 m n.p.m.

Kaszgar to niemal dwustutysięczne miasto na prawdziwym końcu świata. Położone na pustyni, nawadniane przez sieć wąskich kanałów, wiodących z pamińskiej rzeki Kyzyl-su, jest zgiełkliwym, barwnym miastem. Patrzyliśmy z zainteresowaniem na różnorodność twarzy i różnorodność ubiorów. Te rejony zamieszkuje mieszkanka mniejszości narodowych, przeważają Ujgurzy, ale też jest dużo Kirgizów, Tadżyków, Mongołów, Tatarów, Huej, są nawet Rosjanie, którzy uciekli przed rewolucją bolszewicką, oczywiście są Chińczycy, szczególnie wielu przysłano ich tutaj w okresie rządów Mao Tse-tunga w ramach chinizacji tego rejonu Chin. Na wielkim placu przed parkiem ludowym nadal góruje wielki monumentalny pomnik wodza narodu chińskiego.

Obecność chińska w tym rejonie świata, gdzie dominuje ortodoksyjny islam, miała jeden niewątpliwy plus, w chińskiej dzielnicy można było kupić piwo. No i nie wspomnę o chińskiej kuchni.

Kiedyś Kaszgar był ważnym ośrodkiem handlowym w centralnej Azji, tutaj przecinały się szlaki karawan, wiodące do Chin, Rosji, Indii i rejonów Morza Śródziemnego. Może niedługo Kaszgar odzyska dawne znaczenie, już za dwa lata do Kaszgaru będzie doprowadzona linia kolejowa z niedalekiego Biszkeku (dawniej Frunze) w Kirgizji. Podróż z Polski koleją będzie niewątpliwie znacznie tańsza.

W Kaszgarze uzupełniliśmy zakupy, kupiliśmy cukier, ryż, cebulę, czosnek, konserwy mięsne, suszone owoce, herbatę, przyprawy, sól. Wynajęliśmy naczynia kuchenne i wielkie butle z gazem do gotowania w bazie.

I natrafiliśmy na przeszkodę nie do pokonania. W ostatniej chwili przed wyjazdem Chińczycy podwyższyli tzw. opłatę policyjną za wejście w naszą dolinę. W Chinach w dalszym ciągu obcokrajowcy mają problemy ze swobodnym poruszaniem się po kraju, pewna część kraju nadal jest niedostępna dla cudzoziemców, na wejście na niektóre obszary wymagane są drogie pozwolenia. Również nie dostaliśmy zgody na używanie telefonu satelitarnego.

Negocjacje z Chińczykami z Kaszgarskiego Biura Alpinistycznego były bardzo trudne. Tylko nasza determinacja i znajomość języka chińskiego przez Marcina Piusa sprawiły, że Chińczycy warunkowo zgodzili się na naszą działalność. Zabrano nam paszporty, brakujące pieniądze mieliśmy wpłacić przed opuszczeniem Chin.

Dwa dni później z małej osady Ghez wyruszyliśmy w stronę góry. Nasz ponadtysięckilogramowy bagaż kirgisy przewodnicy załadowali na dwanaście wielbłądów. Z trudem nadażaliśmy za tymi mocnymi zwierzętami, zdawało się, że ponadstykilogramowy ładunek na grzbiecie nie czynił na nich wielkiego wrażenia. Wielbłądy swobodnie pokonywały rwące potoki, strome zbocza moren lodowcowych, bez problemu poradziły sobie z urwistymi uskokami lodowca. Podobnie czuły się bardzo pewnie na żwirze i kamieniach, leżących na lodowcu. Swoją drogą rzadko spotyka się wielbłądy przekraczające lodowce, ale w Azji Środkowej to ponoć częsty obrazek. W ciągu jednego, długiego dnia pokonałszy po wyczerpującym marszu ponad tysiąc czterysta metrów wysokości i założyliśmy bazę na wysokości 3900 m n.p.m. w przytulnej dolinie, na trawiastej łące, tuż przy morenie lodowca u stóp stromej, kamiennej grani, gdzie miała rozpocząć się nasza droga na północnej ścianie Kongur Shana.

Tuż poniżej naszej bazy znajdowała się wioska kirgiskich pasterzy. Latem Kirgizi mieszkają w wysokogórskich dolinach w jurtach, wypasając barany, konie i jaki. Spotkaliśmy się z prawdziwą, słynną gościnnością Środkowej Azji. Musieliśmy wręcz kolędować po wszystkich jurtach, gdzie częstowano nas jogurtem z jaczego mleka, owczym serem, żętycą i dziwnymi naleśnikami. Dobrze, że wioska była mała, bo odmowa kolejnych wizyt byłaby wielkim nietaktem.

Najadaliśmy się, a owszem. Tylko wstyd mówić co było potem...? To nie była nasza dieta!!!

Niestety, zaraz po założeniu bazy namacalnie dotarło do nas, że znajdujemy się w innej strefie kulturowej i świadomościowej. Naszą bazę od rana od wieczora okupowały tak kirgiskie dzieci, jak i dorośli, przyglądając się wszystkim naszym poczynaniom. Byliśmy dla nich wspaniałą telenowelą.

I gdy w dolinach rozeszła się wieść, że posiadamy doktora, chorzy docierali na koniach i osłach ze wszystkich okolicznych jurt. Doktor Piotr Alchimowicz starał się jak mógł, dwoił i troił, ale mimo wielkiej pomocy firmy Pharmag z Gdańska, byliśmy ograniczeni ilością lekarstw. I wyłonił się problem językowy, tamtejsi pasterze po prostu nie znali języka chińskiego.

Celem naszej wyprawy było wytyczenie nowej drogi na północnej ścianie Kongur Shana. Niestety w trakcie pierwszych rekonesansów przekonaliśmy się, że planowana przez nas droga jest zbyt niebezpieczna z powodu dużego zagrożenia lawinowego, dlatego zdecydowaliśmy się na powtórzenie drogi japońskiej.

Przystąpiliśmy do zdobywania góry z wielkim animuszem, ustaliliśmy wspaniały plan zdobywania góry, podzieliliśmy się na zespoły, przygotowaliśmy sprzęt wspinaczkowy i biwakowy, medyczną aparaturę tlenową, porcje żywnościowe. Już trzeciego dnia na grani nad bazą założyliśmy bazę wysuniętą, na wysokości 4650 m.

I od razu góra dała nam prztyczka w nos. Nastąpił długi okres niepogody, w bazie padał gęsty deszcz, a na grani śnieg z deszczem i śnieg. Mimo tego, ryzykując, wspinaliśmy się w górę, przekraczając z wielkimi plecakami lawiniaste pola lodowe. Tylko prawidłowa asekuracja ratowała nas z opresji, gdy byliśmy porywani przez zsuwające się wielkie deski mokrego śniegu. Duży opad mokrego śniegu powodował istny wysyp sporych lawin kamiennych. W opadzie śniegu i w gęstej mgłę po omacku w nieznanym nam terenie znajdowaliśmy drogę w skomplikowanej topograficznie grani.

Chcieliśmy bardzo pokonać długą skalisto-lodową grań, by dojść do podstawy tzw. Piramidy o wysokości ok. 6200 m. Piramida – wielka formacja stromych pól lodowych i śnieżnych, zakończona skalnym bastionem, była kluczem do sukcesu w walce o zdobycie góry. Wiedzieliśmy, że powyżej piramidy kończą się trudności techniczne, za to czeka nas plato – wielkie pole śnieżne i długa śnieżno-lodowa grań. Nie będzie tam trudno, za to będzie walka z wysokością, w głębokim śniegu i rozrzedzonym powietrzu. Wszystkie poprzednie wyprawy narzekały na niskie temperatury i silne wiatry.

Dopiero od czwartego sierpnia trafiło się nam, jak ślepiej kurze ziarno, kilka dni dobrej pogody. Wykorzystaliśmy je skutecznie zakładając liny poręczowe do podstawy piramidy. Grań, po której wspinaliśmy się, była długa, z szeregiem uskoków skalnych i lodowych, co powodowało, że wysokość zdobywaliśmy bardzo powoli. W dodatku ekspozowany teren na grani wymagał ciągłej sztywnej asekuracji, co nie przyspieszało tempa wspinania. Natomiast niektóre odcinki drogi, zagrożone ciągłym obrywem lawin kamiennym, pokonywaliśmy w olimpijskim stylu....

Czasami spotykaliśmy japońskie poręczówki sprzed dziesięciu lat, ale nie można ich było wykorzystywać – były zetłate i przecięte przez kamienie.

W lodowej i śnieżnej scenerii zaskoczył nas widok wielkich... sępów, krążących swobodnie nad naszymi obozami, zawieszonymi nad przepaścistymi ścianami. Te wielkie ptaszyska, kojarzone mimowolnie z ciepłymi strefami, były dla nas prawdziwą niespodzianką. Sęp ścierwojad wywoływał jednak u każdego z nas bardzo niedobre skojarzenia, naprawdę ucieszyliśmy się, kiedy sępy wyniosły się z naszej doliny.

Dobra pogoda trwała tylko cztery dni. Już siódmego sierpnia haczykowate cirrusy na pogodnym dotąd niebie zwiastowały kolejne niechybne nadejście frontu i załamanie pogody.

I rzeczywiście, znów nadeszły chmury, znów rozpoczął się kolejny opad deszczu i śniegu. Mimo wszystko liczyliśmy, że to jest tylko przejściowe załamanie pogody. Następnego dnia Marcin Kacperek i Krzysiek Treter wyszli z bazy z nadzieją dotarcia do wierzchołka Piramidy i zdobycia dalszej aklimatyzacji. Trzy dni później poszli ich wspierać Marcin Pius, Tomek i Wiesiek. Pogoda jednak nie dała się ubłagać, nastąpiły coraz większe opady, codziennie na grani przybywało ponad pół metra świeżego śniegu, widoczność w górze była bardzo ograniczona. Po kilku dniach oczekiwania, z wielkim wysiłkiem Marcin Kacperek i Krzysiek Treter założyli obóz drugi pod Piramidą i doszli do wysokości niespełna sześciu tysięcy. I chyba za sukces należy uważać to, że w ciężkim załamaniu pogody, w lawiniastym terenie szczęśliwie wycofali się ze ściany.

Postępujące ciągle pogorszenie pogody, występujące ciągle zagrożenie lawinowe, jak i zbliżający się termin wygaśnięcia chińskiej wizy, wymusiły decyzję o zakończeniu wyprawy. 17 sierpnia została zlikwidowana baza i z bagażem załadowanym na osiem wielbłądów wyprawa powróciła do Ghez.

Trochę się nam poprawiło samopoczucie, gdy powiedziano nam w Kaszgarze, że tego lata wystąpiła anomalia pogodowa w tym rejonie, długotrwałe deszcze, jakich nie było tam od kilkudziesięciu lat, spowodowały wielką powódź, zostały zerwane drogi i mosty, Karakorum Highway została zamknięta na kilka dni, ale o tym nie wiedzieliśmy, przeczekując kolejne załamania pogody w bazie.

Nadal jednak byliśmy zakładnikami Chińczyków, uzależniających zwrot naszych paszportów od uiszczenia wszelkich dodatkowych opłat administracyjnych i policyjnych. Na szczęście dla nas w Chinach dostępny jest Internet i poczta elektroniczna. Wysyłałiśmy błagalne listy do przyjaciół z prośbą o pomoc.

I spotkaliśmy się z wielką solidarnością ludzi kochających przestrzeń. Pomogli nam Romek

Paszke i Jego przyjaciele żeglarze, w bardzo szybkim tempie organizując pożyczkę. A ponieważ transfer pieniędzy do Chin trwa wiele dni, musieliśmy Chińczykom wytłumaczyć, że faks dokumentu potwierdzenia wysłania pieniędzy z banku w Polsce jest wiarygodną kopią. Było to zadanie trudniejsze niż zdobywanie góry, bo przekaz był w języku... polskim, a nasi Chińczycy nawet nie znali angielskiego. Jak to zrobiliśmy, że Chińczycy nam uwierzyli i oddali paszporty, tego do tej pory nie wiem.

Długotrwałe oczekiwanie na bagaż i fatalna pogoda złożyły się na niepowodzenie wyprawy. Wyprawę należy potraktować jako poważny rekonans, który z pewnością zaowocuje podczas działalności następnej polskiej wyprawy na Kongur Shan. Jest to niewątpliwie trudna góra, zdobycie której wymaga dobrego przygotowania, dobrego zespołu i szczęścia, chociażby w postaci dobrej pogody.

SZKOŁA WSPINACZKOWA

*Jacek Patrzykont, Rafał Kardaś
instruktorzy PZA*

Szkolenia:

- ☞ *na sztucznej ścianie*
- ☞ *skalkowe*
- ☞ *tatrzańskie na kartę taternika*

Szkoła zapewnia
sprzęt wspinaczkowy

Adres korespondencyjny:

02-786 Warszawa, ul. Zamiany 5/117

tel./fax 641-85-77

oraz 659-82-60 (wieczorem)

<http://pza.org.pl>

Jak zdobyć Pik Lenina AD 1999



Na przełomie lipca i sierpnia 1999 r. miała miejsce wyprawa KW Olsztyn na Pik Lenina (7 134 m). Ten pamiński szczyt, wznoszący się w Centralnym Grzbiecie Zaafajskim, jest jednym z najpopularniejszych siedmiotysięczników – od strony północnej można go zdobyć siedmioma różnymi drogami o stosunkowo niedużym stopniu trudności (5A w skali radzieckiej). Jest to więc góra oferująca szerokie możliwości zaznajomienia się ze specyfiką prowadzenia działalności wspinaczkowej w górach wysokich, a także „przetestowania” własnego organizmu na dużych wysokościach. Z możliwości tych korzystają coraz liczniej wspinacze i turyści wysokogórscy z Polski (tego lata naliczyliśmy 6 niezależnych ekip). Poniższy tekst zawiera krótkie i najważniejsze wskazówki, dotyczące obecnych warunków zorganizowania tego rodzaju przedsięwzięcia, oparte na doświadczeniach olsztyńskiej wyprawy, w której miałem przyjemność uczestniczyć.

Na Pik Lenina wchodzi się z doliny Aczik-Tasz, od strony Kirgistanu. Wbrew oficjalnym informacjom polskiego MSZ istnieje obowiązek posiadania kirgiskiej wizy. Można ją zdobyć (koszt: 40 USD), nawiązując kontakt z jakąś kirgiską organizacją lub biurem podróży – pewne trudności powoduje tu brak placówki dyplomatycznej Kirgistanu w Polsce. My nawiązaliśmy kontakt z Ambasadą Kirgistanu na Białorusi, która nie tylko wystawiła nam wizy, ale również zarekomendowała biuro, specjalizujące się w organizowaniu wypraw wysokogórskich w Pamir i Tien-Szań. Biuro to („AK-SAI Travel” z Biszkeku – jak się okazało, prowadzone przez kilka miejscowych alpinistek) wzięło na siebie wszelkie formalności związane z pobytem w Kirgistanie i transportem w góry oraz wystawiło imienne zaproszenie dla członków wyprawy (co zdecydowanie uprościło wszelkie procedury celne i kontrolne na granicach lubującej się w tego rodzaju oficjalnych pismach

Rosji). Wydaje się, że pomoc takiego biura zdecydowanie przyspiesza dotarcie w góry i stawia uczestników wyjazdu w komfortowej sytuacji „westmenów”, choć oczywiście pociąga za sobą pewne dodatkowe koszty. Porównując jednak sposoby ułatwiania formalności i metody dojazdu w góry nasze i innych wypraw trzeba stwierdzić, że w końcowym rozrachunku pośrednictwo biura może być... bardzo opłacalne. Można na przykład pokonać trasę Biszkek – Osz jako pasażer kirgiskich linii lotniczych (taryfa lokalna: 17 USD od osoby, czas przelotu: 50 min), unikając konieczności wynajęcia standardowego w tej sytuacji wojskowego „Kamaza” (600 km górskich dróg, koszt: 200-300 USD, czas przejazdu: 16-20 godz.). Uzyskuje się ponadto pomoc osób obeznanych z miejscowymi zwyczajami, niezwykle cenną podczas tak newralgicznych momentów, jak np. odprawa celna czy wejście do samolotu (posiadanie ważnego biletu wcale nie gwarantuje przelotu – trzeba pamiętać, że to jednak Azja, w dodatku postsowiecka...).

Jeśli jednak decydujemy się na samodzielne działanie na polu biurokratyczno-organizacyjnym, pamiętajmy: w Kirgizji jest obowiązek zarejestrowania się na posterunku milicji w ciągu trzech dni od daty przyjazdu. Aby dojechać do doliny Aczik-Tasz, musimy też mieć pozwolenie na przebywanie w strefie nadgranicznej z Chinami (posterunki wojskowe). Chcąc prowadzić działalność górską w rejonie Piku Lenina, trzeba natomiast posiadać pozwolenie na zdobywanie szczytu (120 USD od osoby, z pośrednictwem biura zniżka: 106 USD) lub na trekking (możliwość dojścia do obozu II na 5300 m n.p.m., cena: 35 USD). Wykupienie pozwolenia na szczyt gwarantuje pomoc medyczną i ratowniczą w razie wypadku. Wszystkie pozwolenia są dość skrupulatnie sprawdzane (mieliśmy dwie kontrole w bazie), choć tylko do obozu I – istnieje zapewne możliwość wejścia na szczyt na gapę.

Bazę stawia się zwykle na Łukowej Polanie (ok. 3 900 m). Problem transportowania sprzętu nie istnieje, gdyż dojeżdżają tu samochody (wynajmując się w tym celu ciężarówkę w Osz). Na polanie funkcjonuje prowadzone przez Rosjan obozowisko, jednak można rozbić się w dowolnym miejscu bezpłatnie. Rosjanie oferują stołówkę i bar, jednak ceny są 3-4 razy wyższe niż normalnie. Można też skorzystać z telefonu satelitarnego – koszt połączenia z krajem 6 USD za minutę. Na polanę docierają konno Kirgizi, którzy poza lokalnym kolorytem przywożą wyroby mleczarskie, kumys i pieczywo (lepioszkę). W związku z ich pobylem zdarzają się także drobne kradzieże. Często przyjeżdżają też ciężarówki, przywożące lub wywożące różne ekipy, można więc zamówić u kierowcy np. arbuzy i melony, a także dokupić benzynę do maszynek. Jeśli jesteśmy przy zaopatrzeniu w żywność i „artykuły agd” (np. kanistry, plastikowe miski do mycia, proszek do prania itp.), to w zasadzie wszystkie artykuły można kupić na bazarze w Osz. My, podobnie jak większość wypraw, nie znając sytuacji praktycznie całą żywność transportowaliśmy z Polski, co znacznie podwyższało koszty (nadbagaż w samolocie!). Na pewno warto zabrać z kraju liofilizaty i słodycze.

Wejście na Pik Lenina drogą klasyczną (przez Pik Razdzielna) nie wymaga stosowania żadnych wyrafinowanych technik i sprzętu stricte alpinistycznego. Można wejść w rakach i używając kijków – czekan nie jest tu niezbędny. Trzeba jednak pamiętać, że pomiędzy obozem I i II znajdują się w lodowcu liczne szczeliny, co prawda ubezpieczone drabinkami i poręczówkami, jednak odcinek ten lepiej pokonywać z liną. Większość wypraw co prawda lekceważy niebezpieczeństwo i beztrzęsco nie wiąże się (często niosąc linę na

plecach!!!). Prowadzi to niekiedy do takich kuriozalnych przypadków, jak jednoczesne zapadnięcie się w szczelinę trzech Greków (czwarty powtórzył ten „wyczyn” po godzinie...). W ten sam sposób zginął zresztą Niemiec – jedyna ofiara śmiertelna sezonu 1999 pod Pikiem Lenina.

Cała działalność górską na Piku Lenina koncentruje się zasadniczo wokół dwóch dróg: klasycznej (przez Pik Razdzielna – 95% ruchu) i przez Skąły Lipkina (podczas naszego pobytu zainteresowanie tą drogą wykazały, łącznie z nami, trzy wyprawy, z czego z powodzeniem tylko ekipa rosyjskich „mistrzów sportu”). Być może takie rozłożenie akcentów było w tym roku spowodowane trudnymi warunkami śnieżnymi i pogodowymi (dochodziło do anomalii, których nie pamiętali najstarsi Kirgizi – jak np. metrowa warstwa śniegu na Łukowej Polanie w pierwszej połowie sierpnia...).

Na koniec pozostała sprawa dojazdu z Polski. Generalnie są dwa sposoby: bardziej egzotyczna, tańsza i dłuższa (ok. 4 dni) podróż pociągiem z Mińska do Biszkeku lub połączenie lotnicze (tu istnieją różne kombinacje – ich cechą wspólną jest międzylądowanie w Moskwie, skąd dwa razy w tygodniu odbywają się loty do Biszkeku). My – z uwagi na niedużą odległość z Olsztyna – odlatywaliśmy do Moskwy z Kaliningradu (1.50 godz.). Przelot Moskwa – Biszkek trwa 4 godz., a cała podróż kosztowała (w obie strony, nie licząc nadbagażu) 322 USD od osoby. Można też kierować się na Taszkient (Uzbekistan), skąd bez problemów można dostać się do Osz. To ostatnie miasto, obchodzące właśnie 3 tysiące lat tradycji, jest ostatnim w miarę cywilizowanym etapem podróży w Pamir. Dalej są już tylko wioski, jurty i... góry.

Wyprawa Klubu Wysokogórskiego w Olsztynie przebywała pod Pikiem Lenina w okresie 29.07-23.08.1999 r. W wyjeździe uczestniczyli: Jerzy Pepo – kierownik, Mirosław Dunin-Sulgostowski, Paweł Garwoński, Andrzej Łata, Marek Pepo, Mariusz Rutkowski, Paweł Wojas. Na szczyt weszły trzy osoby drogą przez Pik Razdzielna (zach. granią). Na zdjęciu członkowie wyprawy w bazie. Artykuł powyższy powstał w wyniku obserwacji, poczynionych na tej wyprawie – niektóre okoliczności i warunki mogą się zmienić i nie odpowiadać ściśle przytoczonym tu faktom.



Marcin na Mt McKinley

Najmłodszy Polak na szczycie! 13 lipca o godz. 21.20 stanęliśmy wspólnie na szczycie najstawniejszej góry Ameryki Płn. – Mt McKinley (6194 m), Marcin Pawłowski 15,5 roku oraz jego starszy brat.

Wspaniała pogoda oraz przepiękne widoki dopełniły szczęścia. O godz. 22.40 ponownie stanąłem na szczycie, tym razem w towarzystwie Andrzeja Wojdy (Soki Dr Witt) biznesmana roku 98, oraz Krzyska Gardyny i Krzysztofa Bigdy, którzy wystartowali tego dnia z obozu tzw. 14-ki (4200 m).

Następnego dnia próbę ataku szczytowego podjęli Krystyna Jankowska z Warszawy oraz Krzysiek Szewczak z Dębicy, pogoda jednak nie była już tak łaskawa i zmusiła ich do odwrotu.

Cała nasza siódemka, do obozu 14-ki, a potem w dół, do bazy poruszała się związana linami z czego cztery osoby w raketach śnieżnych, a Bigda oraz Pawłowscy w nartach ski-touringowych.

Mimo szczególnej uwagi zaliczyliśmy kilka niebezpiecznych zawiśnień nad groźnymi w tym roku szczelinami. Warunki były w tym roku na Mt McKinley szczególnie niekorzystne. Olbrzymie szczeliny i kruche, rozmiękczone mosty śnieżne w dolnych partiach lodowca były najgorsze w przeciągu ostatnich 20 lat.



Marcin Pawłowski na Mt McKinley

Statystyki w sezonie '99 mówią o 1202 uczestnikach, z czego na szczycie stanęło 514 osób.

Wątpiących, informuję, że nie było to wprowadzenie na szczyt „synka przez sławnego tatusia”. Już dwa lata temu Marcin był ze mną w bazie pod Gasherbrumami, a także przechodził niezbyt łatwą i oblodzoną przełęcz Gondo Goro (5700 m) w Karakorum.

Na przełomie tego roku spędziliśmy w Tatrach 2 tygodnie jeżdżąc na nartach, wchodząc m.in. na Świnicę i Kościelec.

Yosemite – podróż sentymentalna

Któż z nas nie marzy aby przynajmniej dotknąć wspaniałego granitu w najstawniejszym skalnym rejonie świata Yosemite.

Prawie 20 lat temu wspólnie z Tadzkiem Karolczakiem i Januszem Majerem spędziliśmy tam całe 5 tygodni, robiąc takie przejścia jak:

Half Dome – Regular Route (VI 5,9 A2)

El Capitan – The Nose (VI 5.11 A2)

Sentinel Rock – Steck/Salathe (5.10b i kilka pomniejszych).

Po wyprawie na Alaskę (lipiec '99) chcieliśmy głównie rozgrzać stare kości w słońcu Kalifornii i nacieszyć się pięknem przyrody. Widok stawnych skalnych ścian i towarzystwo dwóch dziewczyn z Kalifornii podziały mobilizująco i mimo krótkiego 3-tygodniowego pobytu udało nam się zrobić kilka dróg oznaczonych (***) trzygwiazdkowym symbolem za piękność.

Były to między innymi:

El Capitan-East Buttress (5.10b)

Middle Cathedral-East Buttress (5,9 A1)

Middle Cathedral-Central Pillar of Frenzy (5,9)

Higher Cathedral-Braille Book (5,8)



Marcin z ojcem — piwo bezalkoholowe

czy też 14-wyciągowa droga w rejonie skalnym High Sierra na Clyde Minaret drogą Southeast Face Direct (5.8).

Jeśli dodam, że wszystkie drogi robiłem w zespole ze swoim synem Marcinem bądź z Jeanne Panek (znajomą z wyprawy na Makalu w 98 r.) to łatwiej zrozumiecie mój entuzjazm.

Przeżyliśmy też dreszczyk emocji innego rodzaju.

Oprócz atrakcji czysto górskich – (dotyk szorst-

kiego granitu) oraz przyjemnościowych (gładka skóra dziewczyn z Kalifornii), na Campie 4 odwiedzani byliśmy trzykrotnie przez niedźwiedzia brunatnego i prawie codziennie wieczorem przez wielkookie szopy pracze.

Na koniec muszę wyznać, że dla mnie była to bez wątpienia podróż sentymentalna, a dla Marcina być może początek wspaniałej przygody z górami.

Czego mu serdecznie życzę.

Rysiek Pawłowski

Nowości z kongresu UIAA

Gospodarzem tegorocznego kongresu UIAA była Grecka Federacja Alpinizmu i Wspinaczki Sportowej. Obrady odbywały się w dniach 23-25 września w Międzynarodowej Akademii Olimpijskiej w miejscowości Olimpia na Peloponezie. Miejsce zostało wybrane nieprzypadkowo. W tych stronach zrodziła się kilka tysięcy lat temu idea igrzysk olimpijskich, tutaj wśród gajów oliwnych można podziwiać starożytne obiekty sportowe, w tym stadion lekkoatletyczny znany z licznych albumów i pocztówek.

Najciekawszym wydarzeniem kongresu było wystąpienie Pita Schuberta, eksperta Deutscher Alpenverein w zakresie badań sprzętu alpinistycznego (nawiasem mówiąc urodzonego we Wrocławiu członka honorowego PZA). Autorytet Pita jest niekwestionowany. Jest on autorem licznych, wielonaktadowych publikacji opartych na rzetelnych badaniach laboratoryjnych i terenowych. Jego książka „Sicherheit und Risiko in Fels und Eis” jest zbiorem niezwykłych przypadków górskich (najczęściej nader krwawych) i w kręgach instruktorskich i ratowniczych uchodzi za lekturę obowiązkową. Nic też dziwnego, że Pit Schubert od lat przewodniczy Komisji Bezpieczeństwa Górskiego UIAA.

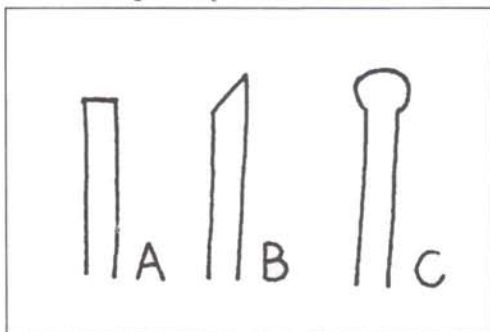
Przyczyną, dla której Pit podjął kolejne badania lin wspinaczkowych było intrygujące spostrzeżenie, że liny francuskie charakteryzują się nieco lepszymi parametrami, między innymi wytrzymują większą liczbę rwań próbnych pomimo identycznej średnicy i identycznej masy jednego metra bieżącego. Pierwszym krokiem w kierunku wyjaśnienia tego feno-

menu było wysłanie lin francuskich do laboratoriów niemieckich i odwrotnie, lin niemieckich do laboratoriów francuskich. Liny zamieniły się miejscami i z kolei wyroby niemieckie okazały się nieco lepsze. Wniosek był prosty, przyczyna tkwi w odmiennych warunkach testowania lin. Zostało udowodnione, że pomimo znormalizowanej masy i gabarytów odważnika obciążającego linę, nie jest bez znaczenia jak jest on usytuowany pomiędzy szynami prowadnic. Ustalono na przyszłość, że ciężar służący do testowania lin powinien wisieć w pozycji pionowej w celu wyeliminowania zaobserwowanych krótkotrwałych zakleszczeń, kiedy opada w dół. W najbliższym czasie liny francuskie będą ponownie atestowane w celu ustalenia ich faktycznej wytrzymałości. – Kończąc tę część wystąpienia prelegent nieoczekiwanie stwierdził, żeby w ogóle nie przejmować się zaprezentowanymi wynikami, bowiem współczesne liny wspinaczkowe posiadają, jak się wyraził, i tak za dużą wytrzymałość. Na dowód swojej tezy Pit przedstawił całą serię slajdów ilustrujących jego najnowsze badania. Okazało się, że:

– Liny nigdy nie pękają na węźle ani na karabinku tworzącym punkt przelotowy, ani też w żadnym ze współczesnych przyrządów asekuracyjnych. Innymi słowy, oznacza to, że dotychczasowe dywagacje nad katastrofalnymi skutkami zawiązania takiego czy innego węzła można już odłożyć do lamusa. Istotne jest tylko aby węzeł nie rozwiązywał się samoistnie! Przy okazji warto zauważyć, że pomimo pewnego zblednięcia pro-

tblemu średnicy karabinków stosowanych w punktach przelotowych, nadal pozostają aktualne obawy dotyczące wytrzymałości „odchudzonych” karabinków, zwłaszcza kiedy opierają się o skałę lub pracują w osi poprzecznej.

- Nowoczesne liny rdzeniowe, nawet te o podwyższonej wytrzymałości, mogą pękać przelamane przez krawędź skalną. Ze statystyk prowadzonych przez DAV od połowy lat sześćdziesiątych wynika, że przynajmniej kilkanaście ciężkich wypadków górskich zostało spowodowanych zerwaniem liny przelamanej na kancie skalnym podczas powstrzymywania odpadnięcia. Co ciekawe, nie odnotowano ani jednego przypadku zerwania liny podwójnej. Wynika z tego bardzo ważny wniosek praktyczny. Wybierając się na wspinaczkę wysokogórską należy zaopatrzyć się w linę dwużyłową: połówkową lub bliźniaczą.
- Dość optymistycznie można patrzeć na niebezpieczeństwo przecięcia liny podwójnej przez spadające kamienie. W trakcie wspinaczki prawdopodobieństwo takiego przypadku jest bardzo niewielkie. Trochę gorzej sprawy się mają podczas zjazdu, gdyż liny nie dość, że są prowadzone równolegle, to jeszcze są obciążone masą wspinacza. Okazuje się jednak, że destrukcyjne przecięcie liny zdarza się bardzo rzadko. Liny z poważnie uszkodzoną koszulką spod której widoczny jest rdzeń liny charakteryzują się wytrzymałością zbliżoną do lin nie uszkodzonych. Rada Pita jest prosta: owinąć linę plastrami i wspiąć się dalej... Tytułem komentarza można dodać, że nie od rzeczy będzie wymiana liny na nową przy pierwszej nadarzającej się okazji.
- Badanie mikroskopowe pojedynczych włókien liny pozwala na jednoznaczne określenie przyczyny utraty ciągłości włókna. Pit Schubert pozwolił sobie na żart, że planując zbrodnię doskonałą w górach należy zapoznać się z wynikami jego badań. Na załączonym rysunku widać: A. Włókno przecięte nożem, B. Włókno zerwane na krawędzi skalnej, C. Włókno zerwane na skutek nadmiernego obciążenia.



- Liny są zaskakująco odporne na powierzchniowe uszkodzenia mechaniczne. Nie szkodzi im stąpanie po nich w pantoflach wspinaczkowych ani nawet w rakach. W czasie badań terenowych deptano liny leżące zarówno na śniegu jak i na twardym podłożu. Okazało się, że traktowane w ten sposób liny nie ulegają przebiciu, a jedynie krótkotrwałej i niegroźnej deformacji. Zaskoczony takim obrotem sprawy Pit „wyszedł z siebie” i osobiście wałąc młotkiem poprzebił testowane liny tak, że zęby raków przechodziły na wylot. Ku zdumieniu wszystkich okazało się, że wytrzymałość tak maltretowanych lin niewiele odbiegała od parametrów fabrycznych. Powyższy wywód nie oznacza wcale, że od dzisiaj można łaźać po linie. Nadal świadczy to o złych manierach, bo wiernej przyjaciółki nie wolno źle traktować.
- Liny nie są wrażliwe na działanie większości substancji chemicznych znajdujących się w codziennym użyciu. Nie zaobserwowano negatywnego wpływu etyliny, oleju napędowego, wody morskiej, proszków do prania, napojów gazowanych, w tym coca coli („What about pepsi?” – padło pytanie z sali), natomiast zarejestrowano pewną poprawę parametrów liny spryskanej... płynem do odstraszenia komarów.
- Liny poddane działaniu kwasów ulegają szybkiej destrukcji. Od dawna wiadomo, że szkodzi im sąsiedztwo akumulatora samochodowego. Nowością są natomiast dowody na to, że nowa lina może stracić nawet do 30% swojej wytrzymałości po kontakcie z uryną. Co ciekawe, moc oddawany z rana jest dwukrotnie bardziej szkodliwy dla liny niż sikanie na nią w ciągu dnia (ogólną wesołość na sali wywołały slajdy dokumentujące przeprowadzanie badań na ten temat).

Następny zapowiadany przez Pita Schuberta etap badań będzie dotyczyć wytrzymałości lin mokrych i lin zamrożonych. – Wśród innych ciekawostek Komisja Medyczna UIAA zwróciła uwagę na niepokojący wzrost przypadków anoreksji (Anorexia nervosa) wśród wspinaczy sportowych. Zapowiedziano przeciwdziałanie temu zjawisku poprzez określenie dolnej granicy wagi zawodników w zależności od płci i wzrostu (tzw. index wzrost/masa), a w konsekwencji niedopuszczanie do startów zawodników zbyt lekkich.

Wasz korespondent

Wojtek Świącicki

Grawitacja zawsze czujna, czyli o wspinaczkowych zakrętach i życiowych przewieszkach rozmawiamy z Bogumiłem Słamą

Bogumił Słama – Bobas, Słoma. Postać kultowa, można go albo uwielbiać, albo nienawidzić, lecz nie można mu odmówić charyzmy. W pewnym momencie błyskotliwy wspinacz. Mógł być pisarzem, ale nie jest (projekt książki „W ścianach, łózkach i kieliszkach”), mógł zostać rzeźbiarzem, ale nie został (udana rzeźba Starej Borzymowskiej i inne), został natomiast – z dużym powodzeniem – szefem Centralnego Ośrodka Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu czyli „Betlejemki”. Dwie żony, kilka narzeczonych, setki wielbicielek rozrzuconych po świecie. Obecnie w stałym związku, jest ojcem dwojga dzieci – Noemi i Samuela.

Jego opowieści i powiezonka, które cytują pokolenia, można by pomieścić w całkiem pokaznym tomie. Wielu się na nim wzoruje, lecz bez powodzenia.

Wielu próbuje namówić go do utrwalenia na piśmie klejnotów jego wymowy, lecz bez rezultatu. Na 50. (1998) urodziny dostał kilka wiecznych piór i dyktafon – może coś z tego będzie...

Taternik: Opowiedz coś o swoich początkach wspinaczkowych.

Bogumił Słama: Kiedy zaczynałem się wspinąć, dla mnie była to kwintesencja romantyzmu, tajemniczości, niesamowitości. Środowisko wspinaczy wydawało mi się nieprawdopodobnie fantastyczne, pozytywne, pełne ciekawych ludzi. Dla mnie to byli bogowie, a ja marzyłem, żeby być w pobliżu, dotknąć szat.

Zacząłem się bardzo wcześnie wspinąć, oszujując...



T: Ile miałeś lat?

B.S: Szesnaście. Oszukiwałem, kręciłem, chowałem linę w kosówce. Cała moja działalność zaczęła się od wyjazdu na obóz z Kościoła ewangelickiego. Organizowano nam świetne wakacje w formie kolonii, a potem obozów młodzieżowych. Mieszkailiśmy na zakręcie w Chłabówce, w niewykończonym domu, sami gotowaliśmy, starsi opiekowali się młodszymi. Było świetnie, dziś takich kolonii pewnie nie ma. I pojawił się tam starszy pan – Aleksander Schiele, też ewangelik, znany nestor taternictwa, jeden z pierwszych, który mi pokazał góry. Robiliśmy wspaniałe wycieczki, podczas których opowiadał masę ciekawych rzeczy. Z pierwszej ręki usłyszałem opowieść o wyprawie, w której zginął Klimek Bachleda w Jaworowej, i wiele innych historii. Bardzo mnie to zafascynowało. Wydaje mi się, że to, iż zacząłem zajmować się górami, to było przeznaczenie. Moja siostra dostała w prezencie od tegoż pana Schielego album o Tatrach, czarno-biały, chyba Tobiczka. Uwielbiałem wieczorami oglądać fotografie ścian. Potem przyszła cała literatura górską...

T: Jakie lektury zrobiły wtedy na tobie największe wrażenie?

B.S: Wszystkie! Wtedy pochłaniałem wszystko. Po latach, oczywiście, niektóre z tych książek straciły swoją świetność, niektóre są egzaltowane, natomiast w przeciwieństwie do współczesnych książek pisane są polszczyzną, a nie jakimś bełkotem! Niektóre współczesne książki nawet jeśli są pisane niezłe, to są źle tłumaczone. A cała klasyka pol-

skich himalaistów to na ogół bohomy. Mam je wszystkie i przeczytałem grzecznie, żeby być *au courant*, ale to nie jest literatura, która by wtedy mnie porwała. Tamte książki to były: Zaruskiego – „Na bezdrożach tatrzańskich”, Żuławski, powieści Cybulskiej. Czytałem wszystko, co mi wpadło w rękę. Cała ta klasyka była niesamowicie ciekawa.

T: Czy miałeś jakiegoś idola? Oczywiście oprócz Dona Whillansa – prostego hydraulika z Londynu?

B.S.: Okazuje się, że on wcale nie był z Londynu, tylko z Walii! Nie wiem dlaczego całe życie mi się wydawało, że z Londynu.

Idol! To jest niewłaściwe słowo. Idol jest na scenie, na ekranie, ja miałem bogów! To byli wielcy, wspaniali ludzie, herosi, na których patrzyłem z daleka. Potem nadeszły czasy, że zaczęli się ze mną witać, czasem zaprosili mnie do stolika. To było dla mnie niebywałe. To były dobre nazwiska: Chrobak, Heinrich. Wypisałem je kiedyś na ścianie kredkami świecowymi, tak że przy odnawianiu nie chcieli zejść. To był też Janusz Kurczab, który po latach został moim przyjacielem. To była cała plejada gwiazd, niektórzy już wtedy byli legendarni, potem te legendy trochę zbladły, jak żeśmy się poznali, ale gdy patrzyłem na nich z boku, byli wspaniali.

T: Czy sądzisz, że ty możesz być teraz dla kogoś takim idolem?

B.S.: Nie zastanawiam się nad tym w ogóle. Dochodziły mnie słuchy, że bywam, natomiast mnie to nie obchodzi i w to nie wnikam.

T: Czy nie uważasz, że teraz początki wspinaczkowe odarte są z romantyzmu, magii i tajemniczości?

B.S.: Myślę, że w tym sporcie każdy ma swój Everest i każdy ma swoją tajemną jaskinię; moją córkę, na przykład, fascynuje Kościelec i marzy już drugi rok, żeby na niego wejść. Opowiada sobie, wyobraża, nawet rysowała, jak to będzie wyglądało, jak tam jest na szczycie. Fascynuje ją, co zobaczy po drugiej stronie grani i myślę, że są to tak silne doznania, jak moje kilkadziesiąt lat temu. Potem ważne jest, co kto z tym zrobi. Teraz wszędzie jest pośpiech, nie ma celebrowania, ludzie nie mają czasu. Komuna to był złoty czas dla alpinizmu. Jak patrzę z perspektywy, to dziękuję losowi, że było to bolszewickie państwo i trafiłem na ten okres we wspinaniu. Poza tym, że wspinaliśmy się bardzo dużo i esencjonalnie, to była nasza recepta na życie, w zgłupiałej, zniewolonej Polsce pegeerów, kotchozów, towarzyszy, skretyniałych urzędników. My byliśmy wolni. Schronisko w Morskim Oku to była enklawa. Teraz już tak nie jest. Wszyscy się spieszą. Przyjeżdżają, wyjeżdżają. Ważna

jest kasa – to nawet nie to, że ludzie są pazerni, ale po prostu muszą; szef puści tylko na parę dni. Zaczęliśmy normalnie pracować, a to, co było marzeniem przez całe dziesiątki lat, nie jest takim eldorado, jak się wydaje.

T: Byłeś błyskotliwym wspinaczem, miałeś świetne przejścia, a potem nagle przestałeś się wspaniać. Byłeś w Himalajach, ale bez sukcesów. Dlaczego?

B.S.: Już moja mama ciągle pytała: „Dlaczego nie jesteś, synu, ambitny?”. Ja nie byłem ambitny i to mi się z wiekiem pogłębiało. Nigdy nie zależało mi na sukcesach finansowych albo sławie. Bardzo szybko zorientowałem się, jak niebezpieczna jest sława i sukces, i jak w ogóle nic nie znaczy. Znaczyła tyle, że można było dostać, jak chłopaki po zimowym Evereście, talon na malucha. Ja też dostałem odznaczenie; medal za jakieś tam wejście. Było to obrzydliwe; ci towarzysze, te prymulki, ta coca-cola, sekretarka, która tłumaczyła nam, jak się zachować u towarzysza w gabinecie. Za medal nie dawali wtedy pieniędzy. Potem zaczęli dawać. Na ten zafajdany medal nie mogłem nawet wejść na Legię, na mecz. To było robienie z siebie błazna. Ja po prostu uwielbiałem się wspaniać i nadal chyba uwielbiam. To mnie wciągało i bawiło. Sukcesy przyszły same; byłem mniejszy, słabszy, zwolniony z WF-u, i jak się zaczynałem wspaniać, to wszyscy byli zdziwieni, że mi tak dobrze idzie, ale mówiono, że na dłuższą metę czy raczej wyższą metę nie dam sobie rady. Ale organizm jakoś mi się uodpornił. Moją karierę górską charakteryzowały dwie rzeczy: kiedy wchodziłem na wysokie obroty i zaczynało mi się układać – jeden sukces od drugiego, jedno wejście za drugim, wyprawa za wyprawą – to albo wchodziła bezpieka i zabierała mi paszport, albo robiłem sobie krzywdę i nie mogłem się wspaniać. Były momenty, kiedy było mi z tego powodu smutno i przykro, ale dzisiaj, patrząc z perspektywy czasu myślę, że bardzo dobrze się stało, bo żyję. Gdybym szedł takim torem jak inni, a sukces robi sukces i człowiek staje się zachłanny, to być może nie rozmawialibyśmy teraz. Niektórzy zawspinali się na śmierć: Wanda Rutkiewicz i wielu innych. Miałem ciekawe życie, choć nie zawsze szło po najbardziej prostych i banalnych torach. Za ciekawość i esencjonalność się płaci. Najlepszy okres we wspinaniu miałem jako dojrzały już, trzydziesto- paroletni facet. Zrobiłem piękne przejścia z Januszem Kurczabem. Były w znakomitym stylu, dojrzałem, dorosłem do tego. Na początku lat 80. oddali mi paszport, zacząłem znowu jeździć (przez brak paszportu straciłem cały okres Hindukuszu.

Koledzy jeździli, a ja z Dziadkiem nad Morskie Oko, wesoło, przyjemnie, Kazalnica, wina proste, te rzeczy).

T: Zaczęłeś jeździć w Himalaje...

B.S: Pojechałem na wyprawę na K2 kierowaną przez Janusza Kurczaba. Już samo to, że tam byłem jest dla mnie sukcesem. Zobaczyłem jak wygląda taka wyprawa, to był jeden z ostatnich wyprawowych molochów. Było to arcyciekawce; obserwowanie, jak się zachowują gwiazdy himalaizmu. Napięcia, emocje towarzyszące walce o szczyt. Było dramatycznie: śmierć Haliny Krüger-Syrokomskiej, ja miałem nieprzyjemną operację. Wszystko to było dla mnie bardzo ważnym doświadczeniem. Byłem też kierownikiem wyprawy na Arjunę (Kaszmir). Miałem, co prawda, kłopoty ze zdrowiem i w szczytowym ataku nie uczestniczyłem, ale była to niewątpliwie ciekawa i wartościowa wyprawa zakończona sukcesem. Wejście małą grupką w dziką dolinę i bardzo trudny szczyt.

T: A potem miałeś wypadek.

B.S: Tak. Pojechałem na narty, moją wielką pasję numer dwa, a teraz nawet może numer jeden, na „Trofeo di Marsalia” i złamałem sobie nogę. Przeszedłem operację i od tego czasu musiałem bardzo uważać; od długiego chodzenia w kolanie zbierała się woda, ostrzegano, że nie mogę nosić więcej niż dziesięć kilo. Kolano uratowało mi zresztą życie, bo Gienek Chrobak namawiał mnie, żebym jechał z nim na Everest, miałem już wszystko załatwione. Na straszliwie twardym lodzie robiliśmy z Gieniem ćwiczenia z kursantami pod Karbem, kolano było obciążone przez cały dzień, znowu spuchło, więc powiedziałem „No, jak mogę z tym kolaniem gdziekolwiek jechać?”. Podśmuchał to Wacek Otręba, który był na rezerwie, ale niezręcznie mu było się odezwać, a bardzo chciał jechać. W rezultacie pojechali obojwaj i wtedy w „Betlejemce” widziałem ich po raz ostatni. Z taką nogą nie mogłem się poważnie wspinać, nie ustrzegłem się też, niestety, przed zmianą wagi. Zawsze byłem drobnutki, szczuplutki, wspinałem się talentem, nigdy nie pakowałem, nie „butowałem”, bo jestem leniem, ale wspinałem przychodziło mi łatwo. Moje hasło to: „Umiar, wdzięk, elegancja, polot”. Potem zacząłem pracować, objąłem „Betlejemkę”, a wiadomo, szewc bez butów chodzi – nie miałem czasu na wspinanie. Poza tym nigdy nie chciałem wspinąć się z byle kim. Przyjaciele z mojego pokolenia albo się postarzel, a duża część się zabiła. Nie, nie, nie chciałem jak Hierzyk dramatycznie łkać: „Stary, sześćdziesięciu partnerów mi umarło!”. Poza tym lubię się włóczyć na nartach, to jest moja druga pasja i dlatego odszedłem od wspinania. Himalaje stały się dla mnie zamknięte, za mało

w nie jeździłem, żebym mógł odnieść jakieś spektakularne sukcesy. Poza tym zawsze najbardziej interesowała mnie wspinaczka, nie dyszenie. Jestem alpinistą i najciekawsze, najfajniejsze rzeczy robiłem w Alpach, to mnie fascynowało. Chętnie jeszcze pochodziłbym na trudne ściany, na sześćciotysięczniki, na przykład.

T: Jak długo prowadzisz „Betlejemkę”?

B.S: 11 lat.

T: Czy można powiedzieć, że to jest twoje miejsce w życiu?

B.S: Gdy się przyglądam temu światu i swoim na niego reakcjom, to myślę, że moje miejsce w życiu powinno być w Koberzynie. Ale z jakichś powodów nie jest. Na pewno moim miejscem nie jest Warszawka, jak określa się poza Warszawą to miasto. Tak pośrodku między Koberzynem a Warszawką jest „Betlejemka”. Nie wiem, co bym mógł robić, na pewno nie poszedłbym, jak paru moich kolegów, robić w nowej bezpiece. Może moim miejscem byłoby coś, co robiłem kiedyś – czyli zajmowanie się starociami, reperowanie, dłubanie, bardzo mi tego brakuje. Myślę, że „Betlejemka” to jest niewątpliwie moje miejsce. A jak inni to widzą...

T: Jaki jest status „Betlejemki”, jeżeli chodzi o TPN?

B.S: Jest to dzierżawa.

T: Czy czynsz jest wysoki?

B.S: Niski nie jest, ale można dyskutować. Wszystko jest względne. Dla PZA nie jest niski, bo „Betlejemka” zarabia na swoje utrzymanie jedynie noclegami. Natomiast nie zarabia się na kursach – te pieniądze idą na amortyzację sprzętu, ale głównie na podatki, wypłaty itp.

T: Czy można powiedzieć, że COS się samofinansuje?

B.S: Tak. Z tym, że były lata lepsze, a teraz są bardzo trudne. Wszystko odbywa się z ołówkiem w rękę, ponieważ w Tatrach zmalał ruch turystyczno-taternicki. Przez Tatry przewalają się tłumy, ale nie są to prawdziwi turyści. Mam nadzieję, że dyrekcja Parku dostrzeże zagrożenie; to nie ci mityczni taternicy są zagrożeniem, bo stukają, płoszą kozice, rozbijają góry, tylko ta potworna masa ludzka, która wpelza na Halę, wnosi śmiecie, np. plastikowe butelki i puszki, i już nie ma siły znieść tego na dół, więc wyrzuca gdzie popadnie. Natomiast ludzie, którzy zatrzymują się na dłużej, którzy nocują i naprawdę chodzą po górach, jest mniej. W tej chwili, jeżeli ktoś zatrzymuje się na tydzień, to jest długo. Gdybyśmy mieli wyszynk, gdybyśmy mieli stołweczkę, aaa, to prawdopodobnie firma by kwitła, a tak, balansujemy na granicy opłacalności.

T: Na podstawie tak długiego doświadczenia, czy mógłbyś nakreślić sylwetkę przeciętnego kursanta? Jaki typ ludzi zapisuje się na kurs?

B.S: Nie mógłbym. Nie ma przeciętnej. Na pewno obniżyła się granica wieku, jest sporo osób z zezwoleniami od rodziców, między 16-18 rokiem życia, co stwarza nowe problemy wychowawczo-psychologiczne. Trzeba uważać, co się mówi, nie wszystkie żarty są odpowiednie. Wiadomo, że inaczej rozmawia się z panienkami 20-letnimi, a inaczej z szesnastolatką. Przynajmniej powinno się. Przychodzą też starsi. W zeszłym roku chodziłem z kursantem rok młodszym ode mnie. Teraz właśnie jest na kursie zimowym. Zapalił się, stara się, schudł, znalazł swoje miejsce. Nie ma zbyt dużych ambicji, ale chce wyjeżdżać i się wspinać.

T: Jaki był najdziwniejszy kursant w twojej karierze?

B.S: Trudno powiedzieć... Miałem kiedyś taki zespół. Trudno ich omawiać osobno. Wszyscy byli dziwni: facet o mentalności ormowca, paniąka bez przerwy ujadająca i jeszcze jeden niemity facet. Byli niesympatyczni, nierozgarnięci, źle się wspinali, nie umieli trafić pod ścianę ani wrócić ze szczytu. Wszystko robili powoli. Gdy wieczorem kładłem się spać, czułem dyskomfort, jak przed pójściem do dentysty lub urzędu. Ale taka jest praca instruktora, trzeba być zawodowo grzecznym, cierpliwym. A pojedyncze osoby... Była kiedyś taka egzaltowana pani, która czołgała się po prawie połączonym koniu skalnym i wrzeszczała: „Przyjaciele, naprężcie sznur, nie pozwólcie mi się osunąć w przepaść!”. Była to dość nieszczyśliwa osoba, po przykrych przejściach i szukała dla siebie drogi. Wszyscy, niestety, sobie z niej żartowali.

T: Co robisz, jeżeli jakaś osoba wyraźnie nie ma predyspozycji do wspinania?

B.S: Wtedy mówię jej o tym. Najpierw wykorzystujemy wszystkie możliwe środki; zmieniamy na przykład instruktora, bo jak wiadomo, koledzy są różni. Zawodowo są niezli, natomiast mają różne sposoby bycia. Zawsze można desygnować Bogdana Jankowskiego, który kulturą, dobrocią i taktem trafi do takiej osoby. Jeśli ktoś się nie nadaje, to uprawianie przez niego taternictwa będzie stwarzało zagrożenie dla jego życia i zdrowia, a i dla innych towarzyszących mu osób. Bo jeżeli ktoś wspina się powoli, po prostych drogach, radzi sobie, asekuruje się, to niech się wspina. Natomiast jeżeli ktoś kiepsko się wspina, nie jest w stanie opanować asekuracji, jest nieodpowiedzialny, wypina się, przepina w najmniej odpowiednich momentach, ma niekontrolowane reakcje i pewien rodzaj aspołeczności, to go to przekreśla jako wspinacza. To jest

tak, jak z wypadkami. Nie ma wypadku tylko z jednego powodu, musi się na niego złożyć kilka czynników. Jednak takich przypadków jest stosunkowo mało. Nawet bardzo mało, jak na tyle ludzi, ile przechodzi przez „Betlejemkę”.

T: A jakie cechy powinien mieć instruktor idealny. Taki wzorzec instruktora z Sevres pod Paryżem.

B.S: Instruktor musi dobrze znać góry, w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie myślę o konkretnym paśmie, w którym pracuje. Powinien znać góry jako takie, mieć doświadczenie. Moim zdaniem dobrym instruktorem będzie tylko ten człowiek, który miał ładną górską karierę. Nie musi to być kariera superwyczynowa, może nie jest to nawet wskazane, ale musi robić przyzwoite standardy, mieć za sobą ileś nocy spędzonych w górach na biwakach planowanych i nie planowanych, ileś razy przestraszyć się, wyjść cało z opresji. To doświadczenie potem procentuje. Ja to doskonale widzę; są koledzy, dla których nigdy nie jest lawiniasto albo jest zdecydowanie lawiniasto, nie ma „chyba lawiniasto”. Są tacy, dla których lawiniasto jest zawsze, wystarczy trochę śniegu i zaraz słychać niepewność w głosie. Są koledzy, dla których zawsze wiatr jest wichurą, i są tacy, którzy mówią, że wieje dość silnie, ale będziemy kombinować tak, żeby nam ten wiatr nie przeszkadzał. Są koledzy, którzy mówią: „Stary, jest niepodobnieństwem wykopać jamę w śniegu, nie da się, nie ma śniegu!” i są koledzy, którzy zawsze znajdują taki kawałek śniegu, że się wkopią. Potem mówią: „No, nie była ta jama bardzo komfortowa, aleśmy przespali”. I to jest właśnie to ogromne doświadczenie. Niestety, coraz częściej przychodzą ludzie ze średnim doświadczeniem. Ale też nie wspinają się tak, jak wspinano się kiedyś. Instruktor musi być opanowany i musi być w gruncie rzeczy kulturalnym człowiekiem, ponieważ jest to praca z ludźmi, często w ogromnym stresie, w napięciu. Już nie mówię o tym, że musi być odpowiedzialny – to oczywiste. Jeżeli zdarzy mu się być względem klienta nieuprzejmym, to co powie zabrzmi ordynarnie, wybuchnie – musi umieć to potem załagodzić, powiedzieć „przepraszam”, wykonać jakiś gest. Łącznie z tym, że jak przesadzi, dać na przykład karabinek w prezencie. Powinien w gruncie rzeczy lubić ludzi, bo jest to praca z ludźmi. Ludzie przychodzą różni; jeśli masz dwie paniąki, obie śliczne, inteligentne, dobrze się wspinają, są wpatrzone w instruktora, to raj, nie praca. A jeszcze do tego, jako trzeci jakiś facet, co nosi plecaki za wszystkich, też jest rozgarnięty i przemyły, i ma na przykład świetny motor i daje ci się przejechać. Ale tak nie jest. Przychodzą bardzo



Odprawa w pokoju instruktorskim. Od lewej: Wojciech Wajda – Dozent, Rafał Kardaś, Bogumił Słama, Tomasz Kliś

różni ludzie i musisz umieć z nimi pracować. Nie wspominam o sumiennosci, uczciwości, bo to jest jasne. Wojtek Świącicki powiedział kiedyś mądrą rzecz, chyba sam to wymyślił, bo nigdzie tego nie przeczytałem. Powiedział, że instruktorem (instruktorką) powinna być osoba, której powierzyłbyś własne dziecko. Mam sporą część znajomych z pracy, którym w ogóle nie oddałbym moich dzieci pod opiekę, a mam takich, którym z zamkniętymi oczami. Zakładając oczywiście, że zawsze może wydarzyć się coś nieprzewidzianego, bo góry są górami, grawitacja zawsze czujna, a wspinaczka jest wspinaczką.

T: Czy spotkałeś instruktora, który się ewidentnie do tego nie nadawał, musiałeś odbyć z nim rozmowę...

B.S: Tak, wyrzuciłem kogoś z pracy. Według mojej oceny się nie nadawał, a późniejsza kariera to potwierdziła. Powiedziałem, że być może ma rację, ale ja nie mam siły dyskutować na temat jego pomysłów, to ja jestem szefem, ja podejmuję decyzje i nie będziemy dalej współpracować.

Na ogół konflikty polegały na normalnej, zwykłej, siemiężnej nieuczciwości; nie czterech kursantów, a pięciu, nie dziesięć dni, a siedem. Niby podchodzili, ale w gruncie rzeczy schodzili, niby to była seria zjazdów, ale żaden nie przekroczył czterech metrów.

T: Kiedy zacząłeś prowadzić „Betlejemkę”, nie było prawie wcale szkolenia prywatnego. Prywatni instruktorzy mogli liczyć na kursantów, którzy do „Betlejemki” się nie dostali. Teraz sytuacja się zmieniła i można nawet zaobserwować rodzaj ani-

mozi między COS-em a prywatnymi. Jaka jest, twoim zdaniem, przewaga szkolenia w „Betlejemce”, nad szkoleniem prywatnym? Dlaczego warto się w niej szkolić?

B.S: Po pierwsze, ja nie bardzo widzę animozje między prywatnymi a COS-em...

T: Ze strony prywatnych instruktorów daje się zauważyć pewien rodzaj lekceważenia: „Wielkie rzeczy, «Betlejemka»...”. Może jest to obawa przed konkurencją?

B.S: Może tak jest, ale ja za bardzo tego nie słucham. Cenię sobie krytykę, ale musi ona polegać na tym, że ktoś przyjdzie i powie: „Słuchaj Boguś, jest tak i tak, uważam, że to i to można zmienić”. Bo przecież nonsensem jest powiedzieć, że robię wszystko źle, że źle prowadzę „Betlejemkę” i że całe przedsięwzięcie to idiotyzm. Mogę jednak popełniać jakieś błędy. Natomiast nie zetknąłem się z naprawdę rzeczową krytyką. Raz Ludwik Wilczyński powiedział mi, że szkolenie kursantów jest bardzo dobre, ale szkolenie kadry instruktorskiej trzeba udoskonalić. Rzeczywiście miał trochę racji. Kilka rzeczy trzeba było udoskonalić. I jest to robione już od paru lat. Mam nadzieję, że najbliższe kursy będą całkiem OK. Natomiast życie nauczyło mnie, żeby przechodzić obojętnie obok tego, co mówi ktoś za plecami. Jak wprowadziłem wyjścia zespołów na Słowację, to dotarła do mnie pełna oburzenia krytyka, jak można ryzykować życiem kursantów, i wysłać zespół do dzikiej doliny i na kruchą drogę. Z prywatnymi animozje mogą wynikać z tego, że ich pilnuję, bo to mam między innymi w umowie o pracę. Pilnuję, żeby dziesięć dni wyjściowych, to było dziesięć, a nie siedem. Pilnuję, żeby program był realizowany. Przecież nie robię tego na złość kolegom, tylko w obronie praw kursanta. W jakiś sposób jestem rzecznikiem praw kursanta. Ci ludzie płacą, a poza tym człowiek gorzej wyszkolony ma większe szanse zrobienia sobie lub komuś krzywdy. Mam całe grono prywatnych instruktorów, którym nawet czasem dostarczam kursantów, np. Ryśkowi Gajewskiemu. Nie będę używał nazwisk kolegów, o których mam złe zdanie, ale nie widzę powodów, żeby nie mówić o dobrych. Daj Boże, żeby się do Ryśka dostać. To jest wielkiej klasy człowiek gór, znakomicie prowadzi szkolenie, jest z nim miło, bo jest dowcipny, ciepły i świetnie przygotowany.

Przewaga „Betlejemki”, z mojego punktu widzenia, jest taka, że działamy w grupie, w związku z czym trudno jest o błąd. Wieczorem robimy odprawę. Jestem czasem apodyktyczny i w pew-

nych momentach przestają dyskutować i każę coś zrobić, bo jak jest tylu ludzi to trzeba podjąć decyzję, bo inaczej dzieje się tak, jak w polskim sejmie. Jednak zawsze rozmawiamy, analizujemy, każdy zgłasza swoje propozycje. Często wycofuję się z moich pomysłów, jeśli zostaną przekonani. Chodzi o to, że ani mój idiotyczny pomysł nie przejdzie, ani pomysł kogoś innego. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i każdy może mieć gorszy dzień. Słynna, straszna historia Jurka Hirszowskiego, kiedy wpadł na najgorszy pomysł w swoim życiu, to potwierdza. Jurek, który zawsze był przykładem rozwagi, wyważenia i uczył mnie instruktorstwa, zrobił coś nieprawdopodobnego. Bo to on zmajstrował, świecił Panie nad jego duszą, tę tragedię, wychodząc w góry w takich warunkach. Był w Morskim Oku wśród znajomych, ze swoim partnerem, przyjacielem, z Pomurnikiem. Był tam Maciek Pawlikowski, księga wiedzy o górach, a wszyscy się mijali i nikt nie powiedział: „Jurek, a weźże ty się w głowę...” Bo jeden myślał, że on zaraz wróci, inny przyszedł zmęczony i myślał, że może Jurek nie wyszedł. A u nas się siada przy stole i jeżeli ja powiem: „Słuchaj, Dozent, jutro bierzesz tych swoich i może na Drege'a uderzysz”, a oni mi powiedzą: „Bogus, przecież od dwóch tygodni pada deszcz i Dreg'em lecą kamienie!” – mają rację, nie pomyślałem i powiedziałem głupotę. Karny pracownik lub niedoświadczony instruktor mógłby pomyśleć, że może trzeba sprawdzić wspinaczkę w ścieku wodnym i by poszedł. A tu jest od razu stop dla głupich pomysłów.

Jesteśmy wyposażeni w bardzo dobry sprzęt, mamy dobry program i metodykę. Co prawda programy są wszędzie takie same, każdy powinien przerobić to samo, ale ja wiem, jak to jest z prywat-



Scena z egzaminu. Pytają: Darek Porada i Piotr Tabakowski. Odpowiada Dominika Jakubik

nymi instruktorami i na przykład z wykładami teoretycznymi. Duża część moich znajomych nie umie ani mówić po polsku, ani jasno wyłożyć problemu. Jeśli masz prywatnie grupę, musisz wszystko zrobić samemu. U nas każdy z instruktorów coś tam powie, ale wykorzystuję tych, którzy dobrze mówią i prowadzą ciekawe wykłady. Mam nadzieję, że im to jakoś wynagradzam. Wielu prywatnych przysłało na nasze wykłady swoich kursantów. Ja się na to godzę, bo to leży chyba w interesie wszystkich. I teraz najważniejsza sprawa: kurs trwa trzy tygodnie, w związku z czym wszystko jest rozłożone. Jak jest dobra pogoda, to jesteśmy „uchodzeni” tak, że wszyscy widzą podwójnie. Każdy przyzna, że dzień z mistrzem, obojętnie, czy to jest wspinaczka, czy to jest rzeźbienie, czy skrzypce, daje ogromnie dużo. Najlepiej obcować na co dzień z fachowcem i się od niego uczyć. Jak nie ma pogody, mamy rezerwę czasową i w ostatnie lata, kiedy były duże opady, to w te trzy tygodnie jednak byliśmy w stanie „wychodzić” cały program. Natomiast prywatni te minimum dziesięć dni wyjściowych traktują jako normę. Dziesięć i koniec. Teoretycznie wszystko idzie szybciej, zarabia się pieniądze w krótkim czasie, ale jak przyjdzie zła pogoda to się szarpia. Ilu ja mam takich kursantów, którzy przyjeżdżają na dwa dni, nie mogą tego kursu skończyć, jak przyjadą po jakimś czasie, to się okazuje, że zapomnieli, co robili wcześniej. Wydaje mi się, że lepiej to zrobić *en bloc*, w dyscyplinie. Nie zdarza się, żebyśmy nie zrobili innych dolin. Mamy wiele ciekawych wyjść na Słowację. To są chyba plusy. Poza tym dostęp do literatury i różnorodność ludzi. Nie chcę powiedzieć, że szkolenie prywatne jest gorsze, mówię tylko, dlaczego szkolenie w „Betlejemce” jest dobre i jakie ma zalety. Dla niektórych osób ma tę wadę, że trwa trzy tygodnie. Są ludzie, którym się wiecznie spieszy, są tacy, którzy nie są w stanie wyrwać trzech tygodni, bo mają tylko dwa tygodnie urlopu. Dobrze więc, że są instruktorzy prywatni. To nie o to chodzi, żeby byli prywatni i nieprywatni. Chodzi o to, żeby szkolić dobrze, uczciwie i fachowo.

T: W pewnym momencie zrezygnowano z obozowego szkolenia zimowego.

B.S: Uważam, że źle się stało. Dokładnie pamiętam zebranie na Walnym Zjeździe PZA. Wybuchła właśnie wolna Polska i może nie wszystkim, ale zdecydowanej większości rodaków wszystko się pochrzańiło. Wolność i demokracja pomieszała im się z anarchią. Wszystko było bolszewickie, wszystko było głupie. *Free country* i zdurnieli kole-dzy. Myślę, że demokracja to jest w gruncie rzeczy obrzydliwy ustrój, choć zawsze uważałem się za

demokratę. Nic lepszego jednak nie wymyślono.

Krzyczano: „Znieść zimowe szkolenie, bo to postbolszewickie”. No i co? Zawada jeździ z jakimś pospolitym ruszeniem, *folksturm* wozi na te swoje wyprawy, a na zebraniach kwalifikacyjnych pada argument, że pojedzie ten, bo ma kartę taternika. Zawada na jednym z zebrań zaczął krzyczeć: „Jak wy tam szkolicie, że ja nie mam z kim jeździć w Himalaje?”. Boleję nad tym i robię wszystko, żeby rozreklamować kursy zimowe. PZA je dofinansowuje, ale mimo tego szkoli się ośmiu do dziesięciu kursantów w sezonie. Niestety, działa taki mechanizm, że jak coś nie jest obowiązkowe, to się tego nie robi. Jak ktoś ma wydać pieniądze na szkolenie, to mówi: „Lepiej sobie kupię goretex”. Albo: „Zenek mi pokaże jak wbić czekan”. Jest cała plejada facetów wspinających się na pewno efektywnie, szybko przechodzących różne drogi w małym kręgu gór: Czołówka MSW, czasem na Kazalnicy, ale wiem od moich znajomych, którzy na tychże ścianach byli świadkami różnych incydentów, że młodzi ludzie mają ogromne braki w asekuracji, orientacji w ścianie itp.

Pamiętam, że na tym zjeździe najbardziej dało się dwóch facetów, używając argumentów, że to są struktury postbolszewickie, że całe PZA jest bolszewickie itd. Bardzo zabawne, bo jeden z nich był towarzyszem partyjnym, a drugi był aktywistą ruchu młodzieży socjalistycznej i decydował, kto dostanie forszę na wyjazd, a kto nie. Ci dwaj faceci głosowali najbardziej. I przegłosowali.

T: W środowisku zdania na temat, czy PZA powinno istnieć, czy nie, są podzielone. Co nam daje PZA?

B.S: PZA daje niewiele, powinien dawać więcej. Ale nawet to niewiele, które daje, upoważnia go do istnienia. PZA jest dlatego, że jest Club Alpino Italiano, że jest Deutsche Alpen Verein, że jest brytyjski klub, francuski klub, amerykański klub, chociaż to taki demokratyczny kraj. Jeśli gdzieś działają, to się zrzeszają i nic lepszego nie wymyślono. To jest wytwór chorych umysłów, że wszędzie na świecie jest wolność i każdy może robić, co chce. Nie każdy i nie co chce. U nas jest taka struktura wspinania, a nie inna.

T: Ale na świecie nie ma czegoś takiego, jak karty taternika...

B.S: Sam nie rozumiem, po co są karty taternika. Wydawałoby się, że wystarczy legitymacja. Mieliśmy jednak w PZA w minionej epoce paru geniuszy, od pieczętek i papierów, listów i donosów. TPN wymaga kart od osób poruszających się poza szlakami. To nie jest dla mnie przyjemność stemplowanie, naklejanie zdjęć. Wystarczyłaby le-



Bogumił Śloma na nartach

gitymacja, ale karty wymaga TPN, a na jego terenie działamy.

Może nie być kart taternika, ale przeszkolenie taternickie jest konieczne do tego, aby się wspiąć. Mówię to z punktu widzenia faceta, który ma lat pięćdziesiąt, całe życie się „przewspinał” i wiele razy brał udział w akcjach ratunkowych, ściągał ludzi, widział zmasakrowane zwłoki. Umieć odróżnić wypadek losowy od wypadku będącego ceną za absolutną niewiedzę. Sam, choć mam dość mocno rozbudowane poczucie wolności, uważam, że w sposób delikatny, kulturalny można się wtrącać i w jakiś sposób kierować ludźmi w takich niebezpiecznych działaniach. Dlaczego motorowodniak, jeżdżący szybkimi łodziami, musi mieć licencję? Musi być przeszkolony, nauczony, bo jak przyłoży w żaglówkę ślizgaczem, to może dojść do tragedii. Tak jest w różnych sportach podwyższonego ryzyka, nie tylko u nas. Musi więc istnieć PZA. Pewien wybitny wspinacz, który był zagorzałym zwolennikiem zniesienia PZA, kiedyś, po wygłoszeniu na którymś zjeździe przemówienia, rozdzieraniu koszuli i krzyczeniu, że to jest struktura postbolszewicka i że należy ją znieść, w ciągu dwóch tygodni po zebraniu napisał uprzejmy list do PZA. Po pierwsze z prośbą o pieniądze, wprawdzie nie dla siebie, bo mu nie wypadało, bo został dość

bogatym człowiekiem, ale dla partnera, jakiegoś geniusza skały i lodu, którego wynalazł, i z którym miał jechać na jakąś górę. Tych pieniędzy, oczywiście, używaliby razem. Poza tym potrzebny mu był stempel, bo jak PZA nie da stempelka, to taki Pakistan czy Nepal nikogo w pewne rejony nie wpuści. Taki jest świat, więc nie ma co tupać, zgrzytać i wrzeszczeć, że to jest bolszewickie. Jak ktoś nie chce, to niech nie należy. To jest, moim zdaniem, głównie problem kompleksiarzy, to jest złe rozumiane pojęcie wolności. Nikomu nie przyjdzie do głowy tupać nogami, że wymagane jest prawo jazdy. Teraz, jak były te wypadki lawinowe, wszyscy krzykali: zamknąć, rozstrzelać, nie ratować, pociągnąć do odpowiedzialności. Telefony do „Trójki”, eskalacja zagrożenia, po czym nadchodzi weekend, wsiadają kretyńscy rodziny w te swoje samochody i ginie czterdziestu. I co, zamknąć szosy, jak pada śnieg? Może zamykać szosy na weekendy? Trzeba za siebie odpowiadać.

T: Powstało wiele szkółek wspinaczkowych, inżynierzy walczą o klientów, szkoli się dużo ludzi, sprzętu jest ile dusza zapagnie, można pojechać wszędzie, a poziom wspinania jest u nas niski. Nie ma błyskotliwych przejść ani w Alpach, ani w Dolomitach, nie odnosimy sukcesów w Himalajach, mało ludzi wspinają się poważnie w Tatrach. Dlaczego?

B.S: Jest w tym trochę winy PZA; w pewnym momencie, z takich czy innych przyczyn zaniechano szkolenia na wyższym stopniu. Gdy wybuchła wolna Polska, upadły komuny i kluby się zdegenerowały. Pieniądże przyniosły być może więcej złego niż dobrego, bo kluby od pewnego momentu były do robienia pieniędzy. Ludzie poodchodzili, kluby zaczęły umierać i zaniknął system szkolenia po kursach; wyjazdy klubowe, na które jeździli ludzie z różnych pokoleń, starsi z młodymi. Dawniej, przez całe lata, kolejność była taka: obóz unifikacyjny, kwalifikacja, Dolomity, a potem Alpy czy Kaukaz, Pamir i Himalaje. Była to, jak ja to nazywam, kultura technologiczna i dawała znakomite efekty. Poza tym na wyjazdy centralne zawsze jeździło paru jurnych młodzieńców – jakieś wschodzące gwiazdy – oraz rutyniarze, doświadczeni wspinacze. Młodzi mogli prowadzić, ciągnąć drogę, ale nestor umiał pokazać, doradzić. Wiem to z własnego doświadczenia, jak silnym czujesz się w górach, mając za partnera takiego człowieka. Wspinając się z Januszem Kurczabem miałem zawsze ogromny komfort tego, że facet jego pokroju jest nie do zabicia, że zawsze w porę się wycofa, znajdzie wyjście z sytuacji. Jano miał swoje wielkie lata, kiedy prowadził całe supertrudne drogi, a potem, kiedy ja prowadziłem, on był mózgiem przedsięwzięcia. Nawet kiedyś dotarła do mnie taka zgrabna ploteczka: „E, co

tam Bobas, przecież on się tylko wspina, a myśli Jano”. A teraz ludzie chodzą świnio pas, jak mówi jeden mój znajomy. Razem z przyjaciółmi w PZA próbujemy sprawić, żeby ludzie zaczęli wspinąć się dla przyjemności wspinania, a nie dlatego, że jak będą taternikami, to będą mogli pomalować komin i zarobić. Pokutuje taki pogląd-wytrych, często powtarzany, że dawniej byli ludzie, którzy tylko się wspinali, tacy *desperados* komunizmu, a teraz jest dużo innych ciekawych rzeczy do wyboru. Ja myślę, że jak ktoś ma pasję i go to ciągnie, to czy ma do wyboru, czy nie, to robi to, co go fascynuje. Jak ktoś trzyma siedem srok za ogon, to nigdy niczego do końca nie będzie robił. Na świecie się to nie zmieniło. Angole, jak to Angole, jeżdżą i we dwóch potrafią przechodzić kilometrowe ściany w Himalajach, na górach, których nazwy nikt nawet nie zna. Łoją czternaście czy szesnaście dni, żeby się wycofać sto metrów od wierzchołka. Jeżdżą Żydzi, jeżdżą południowi Afrykanie, Francuzi, Walijszczyki, Szkoci, a u nas nawet czołówka alpejska zrobi albo nie, pokłóć się, albo zabłądzą, albo się wycofają nie wiadomo dlaczego. Ja przepraszam, czasy się zmieniają, oni powinni wspinąć się lepiej niż ludzie kiedyś...

T: Czyli w ogóle nie wygląda na to, że dorastamy „w temacie wspinanie” do standardów europejskich. Mamy banki i karty kredytowe, czujemy się jak Europejczycy, ale pod względem wspinaczkowym właściwie cofnęliśmy się. Ludzie nie wspinają się ani więcej, ani lepiej, ich działania nie mają rozmachu. Czy wygląda na to, że przysiedliśmy, bo mamy teraz okres „ustabilizowanej transformacji”?

B.S: Nie wiem. Trzeba poczekać. Moim zdaniem ruszy, zapali. Ludzie zaczną szukać enklaw, może w innej formie. Wyszliśmy już z socjalizmu i jego różnych dobrodziejstw, w związku z czym nie będziemy już siedzieli w swetrach z owczej wełny w schronisku, przy słabym świetle, nie będziemy jedli non stop mielonki, ten romantyzm odszedł.



Bettejemka

Chociaż może kiedyś wróci i będziemy znów do siebie mówić: „Słuchaj, stary...” W każdym razie ten sznyt „długoszowo-zanusowski” (bo Zanussi wyobrażał sobie, że każdy taternik to fizyk, a obok niego kręcą się egzaltowane studentki historii sztuki). Natomiast może będzie tak, jak na Zachodzie; ludzie po pracy będą się spotykać w klubach. Poznałem kiedyś klub turyński, do którego należą rozmaici ludzie: student, kustosz, ze dwóch milionerów, i jest to organizacja towarzyska. Razem wyjeżdżają nie tylko w góry, a raz na dwa tygodnie spotykają się na kolacji. Gadają, pokazują zdjęcia. Pamiętam czas, kiedy nie było kominów, może dlatego, że byłem jednym z pierwszych w Polsce, który wpadł na pomysł malowania kominów. Przychodziło się do klubu na Jezuicką, czekało się na ten czwartek; tu jakaś sława przeszła, tu piękna kobieta (bo piękne kobiety obracały się wtedy w tym środowisku), a my, egzaltowani młodzieńcy, planowaliśmy sezony, przejścia, słuchaliśmy prelekcji o wyprawach. Teraz wszystko masz w telewizji i wszyscy wszędzie już byli, a dawniej przyjeżdżali faceci z Alp czy z Turcji, słuchało się ich z zapartym tchem, oglądało slajdy...

T: Potem zaczęły się kominy i kluby stały się organizacjami zawodowymi, potem nastąpiła zaapaść, a teraz może znowu jest szansa, by stały się na powrót właśnie organizacjami towarzyskimi?

B.S: Są kluby, w których zaczyna się coś dziać. Ludzie tylko muszą sobie uświadomić jedną rzecz: nie da się przyjemnie żyć i brylować za cudze pieniądze. Urząd miasta w mniejszych miastach jest w stanie pomóc, jeśli chodzi na przykład o lokal, natomiast życie klubowe musi się toczyć w oparciu o własne pieniądze. Można starać się o dotacje na wyprawę z klubu, ale nie można pieniędzmi klubowymi płacić za bilety w Tatry. Strasznie rozpuściły nas lata komunizmu, kiedy wszystko dawano. Dlaczego mam płacić za innych? Jeśli ktoś wyjedzie za dotacją, to znaczy, że za moje pieniądze, a ja nie jestem pewien, czy chce komuś coś fundować. Klubów wysokogórskich nie da się, niestety, podciągnąć pod biznesmenów, tak jak kluby żużlowe czy piłkarskie.

Wydaje mi się, że ludzie mają teraz więcej pieniędzy. Mówi się, że kursy w „Bettejemce” są drogie, że kursanci głodują, że są biedni. Są tacy, którym się nie przelewa, ale widzę ile pieniędzy zamieniają inni na destylat w „Murowańcu”, który wiadomo, ile kosztuje.

Jeżeli chodzi o wyczyn, musi minąć trochę czasu. W latach 70-80. weszliśmy na bardzo wysokie obrotory, czółowka się zabiła, a ci koledzy, co przyszli po nich, nie dorastają im do pięt. I chyba

wytworzyła się luka pokoleniowa. O ile się orientuję, to aktualna czółowka się nie pozabijała, bo się nie wspina. Oni już nie interesują się górami tak naprawdę. Są jakieś rzuty na taśmę, ale nie ma w tym pasji. To musi wypływać z serca, z duszy. To musi być ciąg, jak nie masz tego ciągu, to ryzyko, zmęczenie, cierpienie, ta cała udręka, jaka jest związana z alpinizmem, cię zabije. Na samej ambicji nie pojedziesz. Musisz mieć silny imperatyw wewnętrzny. Zawsze mówię na kursach – jeżeli to nie jest twoją pasją, zostaw to, bo nie warto umierać i zostać kaleką. Nie warto narażać się, jeśli to nie jest twoja pasja. W końcu jest modelarstwo, szkutnictwo...

T: A co sądzisz o komercyjnych wyprawach w Himalaje?

B.S: Oni mi psują góry. To jest tak, jakby ci ktoś wchodził w brudnych butach do świątyni. Brudnymi butami. Zaczynają po niej łązić, dlatego, że jest modna. Nie podoba mi się to. Ale oni płacą za to cenę. Mam takie marzenie, okrutne, paskudne, ale ja jestem, jak wiadomo, złym człowiekiem; był taki dzień, że na stopniu Hillary’ego czekało się pół godziny i jednego dnia na wierzchołek Everestu weszło trzydzieści parę osób. Przytykam oczy i widzę porządne załamanie pogody...

T: Coś takiego opisuje John Krakauer w książce „Wszystko za Everest”...

B.S: Ale ilu tam umarło, zaledwie parę osób! To wtedy jeden z uczestników zadzwonił do żony z „komórki”, pożegnał się, pozdrowił i umarł. Ona zresztą zarobiła na tym niezłe pieniądze. To jest makabryczne: te telefony komórkowe, te rozmowy ze szczytu, te telefony z bazy tutaj. Dla mnie udział w wyprawach, czar wspinaczek, wypraw polegał między innymi na rozstaniach. Dla mnie ważnym elementem były powroty. Różne. To był powrót z Kazalnicy, to był powrót z Alp, to był powrót z Himalajów. Z sukcesem, bez sukcesu. Jak się człowiek cieszył, gdy wracał, „nabał” się, ale wyniósł tylek cało. Jak smakowała kiełbasa z różną w barze „Rybitwa”, bo już się miało dosyć tych hinduskich przysmaków. I te rozstanie, te listy, na które się czekało w bazie. To było fascynujące, teraz świat zmałał. Mam porównanie, bo latałem boeingami, ale też jeździłem stopem, powoli, różnymi środkami lokomocji po Azji. Przejechałem jelczem przez Karakorum aż do Nepalu, do Katmandu, w tę i z powrotem. Znam smak takich podróży, zmiany. Inni ludzie, powietrze ma inny kolor, herbata inaczej smakuje. To jest urok podróży. A teraz, wsłada się w samolot, w pośpiechu robi drogę albo najczęściej nie robi, opowiada jakieś dyrdymały, że jakby nie wiało, to by się

weszło, albo by się weszło, jakby się szło, a się nie szło, bo się stało. Nie podoba mi się to, co się dzieje, a ponieważ nie mam na to żadnego wpływu, więc staram się nie denerwować. Ale jak przeczytam w gazecie, że trzydzieści osób zginęło na Evereście, to nie będę tym wstrząśnięty. Z całą premedytacją ludzie pakują się w głupią sytuację. Nie dla psa kielbasa. Ludzie całymi latami dochodzili do tego, żeby pojechać na Everest. Pracowali nad sobą! Wyrabiali w sobie wytrzymałość fizyczną i psychiczną. Ci faceci, którzy organizują takie wyprawy (może się obrazić na mnie ten i ów) są po prostu oszustami. Ich klienci nie są do końca świadomi, że jak się coś zacznie dziać, to ich przewodnicy nic nie będą w stanie zrobić. W Tatrach, w Alpach, gdy przewodnik pójdzie z klientem, to go w zębach będzie aportował, będzie go ciągnął, będzie go na plecach niósł, nie mówiąc już o tym, że przyleci śmigłowiec. W Himalajach od pewnego momentu nikt nikomu nie pomoże. Jak się zacznie piekło, to każdy będzie umierał w samotności. Ja, zawsze to podkreślam, nigdy z byle kim się nie wspinałem. Trafiałem raz i drugi nie najlepiej, zwłaszcza za młodu. Jeżeli ktoś jest egoistą, sobnikiem, historykiem, znany jest z tego, że ubliża w ścianie, ryczy, że każda chmurka jest dobra do tego, żeby spanikować, że za chwilę będziemy umierać, to po co z nim chodzić? Uważam, że wspinanie to jest delikatna sprawa, dla mnie zawsze bardzo ważna, czysta. Dookoła było gówno, a tu było czysto. Zdarzyło się oczywiście, że kolega donos napisał, ktoś tam skłamał na temat przejść, ktoś tam może uwiódł żonę drugiemu nie elegancko, tylko jak cham, zdarzały się kradzieże, ale generalnie było czysto.

T: Zgodzisz się jednak, że nasze środowisko było swego rodzaju enklawą; indywidualności, ciekawi ludzie. Ten sport wymuszał wysoki poziom etyczny. Teraz jest dużo przypadkowości.

B.S.: Kiedyś był to sport inteligencji. Wspinali się głównie studenci. Jeśli wspinął się jakiś facet, który był robotnikiem, to się go pokazywało: „Nasz robotnik, taternik”. Na Śląsku paru mieli, w Warszawie też był jeden. Wielu, tak jak ja, miało specyficzne podejście do kariery naukowej, ale generalnie byli to inteligenci. Trafiały się i tłuczki, i ocieżali umysłowo, ale *gros* to byli szalenie ciekawi ludzie. Indywidualności: Gabriel, Teddy Gibiński, Surdel... Potem się to spauperyzowało, jak wszystko, jak cała Polska. Jaka teraz jest inteligencja? Czytasz teraz, że faceta drutują na stadionie za bicie kijami baseballowymi, a to student prawa! Moim zdaniem najfajniejsi teraz są ludzie z małych miasteczek, często ze wsi, którzy kiedyś w ogóle nie docierali

w góry. Bardzo często pracują, wcale nie studiują. Przychoǳą do mnie, rozmawiają na przykład o książkach; opowiadają, że do biblioteki się zapisali, ale mają daleko, muszą dojechać. Oni chcą taternictwa, alpinizmu tajemniczego i ciekawego, i świata bez telefonów komórkowych. Myślę, że „Betlejemka” daje coś z tej tajemniczości, mimo że nosimy radia. Co za paranoja! Teraz sobie przypomniałem, że jak wprowadziliśmy obowiązek chodzenia z radiami, ile było gadania, pukania się w głowę, że się odbiera romantyzm! A ile jest dzięki radiotelefonom skróconych cierpień, uratowanego życia. Przeciw telefonom komórkowym nikt się nie buntuje, każdy z „komórką” lata. Nie ma to, jak moda.

T: Ale paru osobom „komórka” uratowała życie...

B.S.: I dobrze, nie należy przesadzać. To tak, jakby nie używać lin nylonowych, tylko romantycznie na sizalu się wspinać. Rwie się co czwarty lot, ale jest do bólu romantycznie. Niech mają te „komórki”, nie ucieknie się od świata i od tego, że świat się zmienia. Zaczynam rozumieć kwestię przemijania pokoleń, bo ten świat przestaje być moim światem. Żyjemy w okresie szalenie interesującym, okresie niebywałych przemian, ale mnie to przestaje interesować. Czuję, że mój świat powoli odchodzi...

Rozmawiała: *Beata Stama*

Tatry Wysokie w 27 godzin

Słowak Vladimir Plulik przeszedł w czasie 27 godzin grań Tatr Wysokich od Przetoczy pod Kopą (1749 m) do Liliowego (1952 m). Licząca 26 km grań o łącznej sumie różnicy wzniesień 10000 m prowadzi przez ok. 60 szczytów. Trudności odcinków wspinaczkowych od II do VI. Plulik dokonał przejścia w dniach 18-19 lipca br., wspinając się od godziny 17.15, bez przerwy przez całą noc, do godz. 20.15 następnego dnia, nie korzystając z żadnego wsparcia i składów żywności. Było to dla niego już drugie spotkanie z całą granią Tatr Wysokich. Poprzednio przeszedł ją w styczniu 1997 r. (z dwoma biwakami) w czasie 50 godzin. W zeszłym roku w maju Plulik (36 lat) wdrapał się na Everest (8848 m) bez tlenu.

(wj)

Direttissima północnej ściany Miękuszwowieckiego Szczytu – sprostowanie

Na wewnętrznej stronie tylnej okładki Tatarnika 2/1999 znajduje się kolorowa fotografia północnej ściany Miękuszwowieckiego Szczytu w zimowej szacie. Na zdjęciu wrysowane zostały drogi przebyte zimą.

Droga oznaczona cyfrą 3 ma następujące objaśnienie na stronie 39 tegoż numeru Tatarnika: „Direttissima IV, 6-12 h (zimą), 600 m 1p: Stanisław Biel, Jerzy Honowski i Zbigniew Rubinowski, 13-14.02.1953 (zimą)* 1p letnie 1954. Zdobywcy środkowy odcinek przeszli w sposób bardzo zbliżony do Superdirettissimy (nr 5)”.

Przebieg tej drogi jest błędnie wrysowany w fotografii. Prawdopodobnie pokazany jest na zdjęciu w Tatarniku 4/1957 s. 13. Direttissima po wyjściu z komina nad Małym Bańdziochem przeprowadzona została w prawo od późniejszej drogi nr 5 pokazanej na zdjęciu Grzegorza Głazka, a jej kluczowy najtrudniejszy odcinek, oceniony jako IV+, tworzyła ścianka ukształtowana w szerokie płytowe zacięcie z rysami. Znajduje się ona pomiędzy śnieżnymi polami w przedłużeniu w prawo od Wielkiej Galerii Cubryńskiej a Zachodem Janczewskiego. Przejście tego odcinka przez zespół Biel-Honowski-Rubinowski w dniu 13 lutego 53 r. obserwowaliśmy z bratem Antonim podczas naszej wspinaczki Filarem Cubryny. Pokazany na fotografii w Tatarniku 4/57 przebieg drogi potwierdził też Stanisław Biel podczas rozmowy w dniu 3.08.1999 r. Zresztą nigdy nie był kwestionowany przez żadnego z uczestników pierwszego przejścia.

Wykonanie Direttissimy w 1953 roku było największym wydarzeniem sezonu zimowego. Przejście tak wielkiej ściany (900 m wysokości) przy ówczesnym sprzęcie – liny szalowe do tego szybko ulegające oblodzeniu, czekany do kucia stopni, a nie do kotwiczenia, raki dziesięciozębne, ale bez przednich zębów wysuniętych do przodu jak obecnie, ciężkie stalowe karabinki i haki, ciężki sprzęt biwakowy i do gotowania, odzież wełna i flanela oraz brezent, ale przede wszystkim znacznie większe zaśnieżenie niż obecnie bywa sprawiło, że pokonanie takiej drogi było o wiele większym przedsięwzięciem niż miałyby to miejsce dzisiaj. Także doświadczenie młodego pokolenia własne i przejmowane od poprzedników było niewielkie.



Odbitka kserograficzna zdjęcia zamieszczonego w Tatarniku nr 4/1957 s. 13

Obawa przed skutkami biwaku i załamania pogody w nocy, grożącego brakiem widoczności, wiatrem i lawinami, niechęć do obciążania się sprzętem biwakowym, skłaniała ówczesną czołwójkę wspinaczkową do próbowania przejścia tej ściany w ciągu jednego dnia. To wymagało dłuższego dnia, a więc późniejszego okresu – koniec marca i początek kwietnia. Z kolei rosta zagrożenie lawinowe w późniejszych godzinach w wyniku rozmoknięcia śniegu. I mimo bardzo wczesnego wychodzenia ze schroniska (3-4⁰⁰ rano) potrzebna była dobra pogoda przez cały dzień, aby bezpiecznie zejść ze szczytu. Nie było więc łatwo trafić na odpowiednie warunki. A lawiny w latach pięćdziesiątych schodziły przez całą ścianę aż na lód na Morskim Oku. To nie ostatnie dwadzieścia parę lat w których piargi pod północną ścianą obrośły kosó-

wką, jarzębiną, karłowatą wierzbą, limbami i innymi roślinami. Jeszcze w pięćdziesiątych latach leżały tu „wieczne śniegi” prawie przez całe lato, co pośrednio świadczy o wielkości lawin. Zresztą czy nie to samo jest ze żlebami na stokach Miedzianego i Opalonego Wierchu!

Pierwszą próbę przejścia Direttissimi w lecie podjąłem z Andrzejem Bonarskim 6 września 1953 roku. Niestety, oblodzenie północnych ścian powyżej Wielkiej Galerii Cubryńskiej, jakie nastąpiło w nocy i załamanie pogody połączone z zawieją śnieżną, schodzenie dużych pyłówek z Rynny Wawrytki, a przy tym brak rękawiczek, raków i młotków lodowych zmusiło nas do odwrotu, już po pokonaniu prawie całej kluczowej ścianki pod

Zachodem Janiszewskiego. Wycofaliśmy się na Wielką Galerię Cubryńską i do żlebu Mnichowego.

Drogę tę później z bratem Antonim przeszliśmy w 6,5 godziny 7 września 1958 roku.

W latach pięćdziesiątych północna ściana w zimie fascynowała wszystkich. Kiedyś umawiałem się z Jankiem Długoszem, to znowu z Adamem Skoczylasem, to ze Zdzisławem Jakubowskim; planowaliśmy też z bratem, ale zawsze na przeszkodzie stawały warunki pogodowe i śnieżne lub inne przeszkody. I tak minęły lata.

Jerzy Wala

* Koledzy mi proponowali udział w tej eskapdzie, ale zrezygnowałem, gdyż byłem świeżo po wyleczonej gruźlicy, którą złapałem w domu akademickim w Warszawie.



90 LAT TOPR

„Ja niżej podpisany dobrowolnie przyrzekam, pod słowem honoru, że póki zdrowszy jestem, na każde wezwanie Naczelnika lub Jego Zastępcy – bez względu na porę roku, dnia i stan pogody – stawię się w oznaczonym miejscu i godzinie odpowiednio na wyprawę zaopatrzoną i udam się w góry według marszruty i wskazań Naczelnika lub Jego Zastępcy w celu poszukiwania zaginionego i niesienia mu pomocy...”

fragment przyrzeczenia ratownika TOPR

90 lat temu, 29 października 1909 roku galicyjskie namiestnictwo we Lwowie zatwierdziło statut Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. W ten sposób dzięki staraniom grupy entuzjastów zainspirowanych przez Mariusza Zaruskiego i Mieczysława Karłowicza powstała w Tatrach, jako czwarta na świecie, organizacja ratownictwa górskiego.



Ratownicy TOPR (od lewej): Jan Gąsienica Byrcyn, Andrzej „Baron” Skłodowski i Jan Gąsienica Roj.

Obecnie TOPR liczy blisko ćwierć tysiąca członków w tym kilkudziesięciu ratowników etatowych. Są oni gotowi wyruszyć na każde wezwanie potrzebujących pomocy. We dnie i w nocy ratują taterników w ścianach i jaskiniach tatrzańskich, udzielają pomocy narciarzom, prowadzą akcje ratunkowe z powietrza, także poza Tatrami w czasie klęsk żywiołowych.



Jak to drzewiej bywało. Pokazy ratownictwa górskiego AD 1999.

23 października br. w schronisku na Kalatówkach odbyły się z wielkim rozmachem rocznicowe obchody powstania Pogotowia. Wśród zaproszonych gości można było dostrzec ministrów i przedstawicieli władz lokalnych, reprezentacje wszystkich grup regionalnych GOPR, delegacje organizacji ratowniczych ze Słowacji, Czech Austrii, Niemiec i całą plejadę innych osobistości. Panowała isticie braterska atmosfera, a słowem pochwały i podziwu nie było wręcz końca. Do tych głosów dołącza się także Zarząd Polskiego Związku Alpinizmu, który w imieniu całej rzeszy taterników, grotolazów i kadry instruktorskiej składa naszym przyjaciołom, ratownikom TOPR, życzenia wszelkiej pomyślności.

Wojciech Świącicki

KURNIK

Zdjęcie L. Świeckiego ze starej pocztówki przedstawia schronisko PTT, a po wojnie PTTK, przy Morskim Oku z okresu przed generalnym remontem. Na pierwszym planie przed schroniskiem widać „kurnik” – budynek gospodarczy, który stanowił „noclegarnię” dla braci klubowej w latach pięćdziesiątych. Wspominany jest w książkach Jana Długosza i Marka Stefańskiego oraz artykułach innych autorów. Udostępniany ubogim taternikom-studentom za bardzo niską opłatą lub wprost za darmo przez państwa Łapińskich, pozwalał nam

przetwać długie tygodnie letniego sezonu. Wiąże się na trwałe z historią powojennego młodego pokolenia taternickiego. Ileż razy spaliśmy w nim zgnieceny jak śledzie w beczce.

Warto też zwrócić uwagę na ubogie zalesienie stoków nad schroniskiem. Toteż schodzące spod Marchwicznego na powierzchnię Morskiego Oka wielkie lawiny przy ówczesnym zaśnieżeniu były zjawiskiem częstym niemal każdej zimy.

Jerzy Wala



Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy!

Komisja Tatrzańska Zarządu PZA ma przyjemność zawiadomić, że już od 15 grudnia 1999 r. otwiera swoje podwoje Baza Zimowa PZA zlokalizowana w „Naszej chatce” na Włosienicy. Jednocześnie informujemy, że na wzór akcji letniej będzie kontynuowana impreza Junior – Zima 2000, w czasie której oprócz opieki instruktorskiej oferujemy dotowane noclegi dla początkujących taterników. Co więcej, nasz program obejmuje także korzystanie z noclegów w COS PZA „Betlejemka” w miesiącach: styczeń, luty i marzec. Zapraszamy. Czekamy w dniu...

Telefony informacyjne:

- * Komisja Tatrzańska PZA:
Andrzej Sobolewski 0-22 842-34-10
Maciej Pawlikowski 0-18 201-26-11
- * COS PZA „Betlejemka”
Bogumił Ślania 0-18 201-24-01
0-603 42-41-01

VI Speleomistrzostwa Polski

25 września 1999 w Jaroszewcu Olkuskim dzięki zaangażowaniu Fundacji Sportów Górskich oraz Agencji Promocji Sportu, a także poparciu Gminnego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji w Kluczach odbyła się kolejna edycja mistrzostw Polski w konkurencjach alpinizmu jaskiniowego.

Głównym organizatorem był jak zawsze *Tomasz K. Pryjma*. Sędzią głównym został *Wojciech Wasilewski*, sędziami pomocniczymi byli *Emanuel Lis*, *Maciej Olinkiewicz* i *Katarzyna Pryjma*.

Zawody miały wyjątkowo dobrą oprawę. Jest to zasługa sponsora głównego EGO – *Powszechnego Towarzystwa Emerytalnego BIG Banku Gdańskiego S.A.* Dziękujemy także Sponsorowi Branżowemu WIP – SPORT, Speleoklubowi Warszawskiemu Stowarzyszenie za pomoc sprzętową oraz Komisji Taternictwa Jaskiniowego Polskiego Związku Alpinizmu za pomoc finansową. Ponadto nagrody ufundowali Procter & Gamble oraz magazyn turystyczny PODRÓŻE. Patronat medialny nad imprezą objęło: RMF FM oraz Gazeta Krakowska. Relacja telewizyjna ukazała się w RTL7.

Zawody rozegrane zostały w trzech etapach. Pierwszy z nich to część techniczna polegająca na wykorzystaniu sztucznej ściany wspinaczkowej i niezbyt skomplikowanego układu lin, drugi to część terenowa w trakcie której uczestnicy wykorzystywali wyposażenie niezbędne do orientacji w terenie oraz musieli pokonać jedną z głębszych

jaskiń Jury Krakowsko-Wieluńskiej – Błotną. Ostatnia część to tzw. Sprint, czyli wyjście po długim ok. 40-metrowym odcinku linowym na czas. Oceniany był zarówno łączny czas pobytu na trasie, szybkość pokonania poszczególnych odcinków (odcinki linowe, jaskinia) jak też poprawność techniczna.

Nowością dla tych zawodów było umiejscowienie w samym środku miasteczka. Specjalnie ściągnięta sztuczna ściana imitowała skały i większą część imprezy przebiegała na oczach mieszkańców obserwujących zmagania wprost ze swoich bloków.

Pogoda była wyśmienita, dopisali widzowie i uczestnicy współorganizowanego festynu gminnego. Nie można natomiast tego powiedzieć o zawodnikach. Ilość startujących była żenująco mała – 8 osób. Jest to z pewnością wykładnia aktywności środowiska.

W klasyfikacji końcowej w kategorii kobiet zwyciężyła Klara Żerdzioka. Drugie miejsce zajęła Agnieszka Żelechowska. Obydwie panie ze Speleoklubu Warszawskiego Stowarzyszenie.

W klasyfikacji końcowej w kategorii mężczyzn zwyciężył Janusz Chowaniec. Drugie miejsce zajął Adam Sanak. Trzecie miejsce zajął Andrzej Jarek. Wszyscy – Harcerski Klub Taternictwa Jaskiniowego Brzeszcze.

Tomasz K. Pryjma

NOWE DROGI

KOŚCIELEC – zachodnia ściana „LOBBY INSTRUKTORSKIE”

VI.2 Czas przejścia: 2-3 h.

1 przejście: Piotr Drobot i Jacek Kmin. 25.07.1999 r.
2,5 h.

RP – znając, (po przygotowaniu asekuracji
24.07.1999 r).

Sprzęt: lina 50 m, komplet stoperów, średnie frien-
dy, 15 ekspresów.

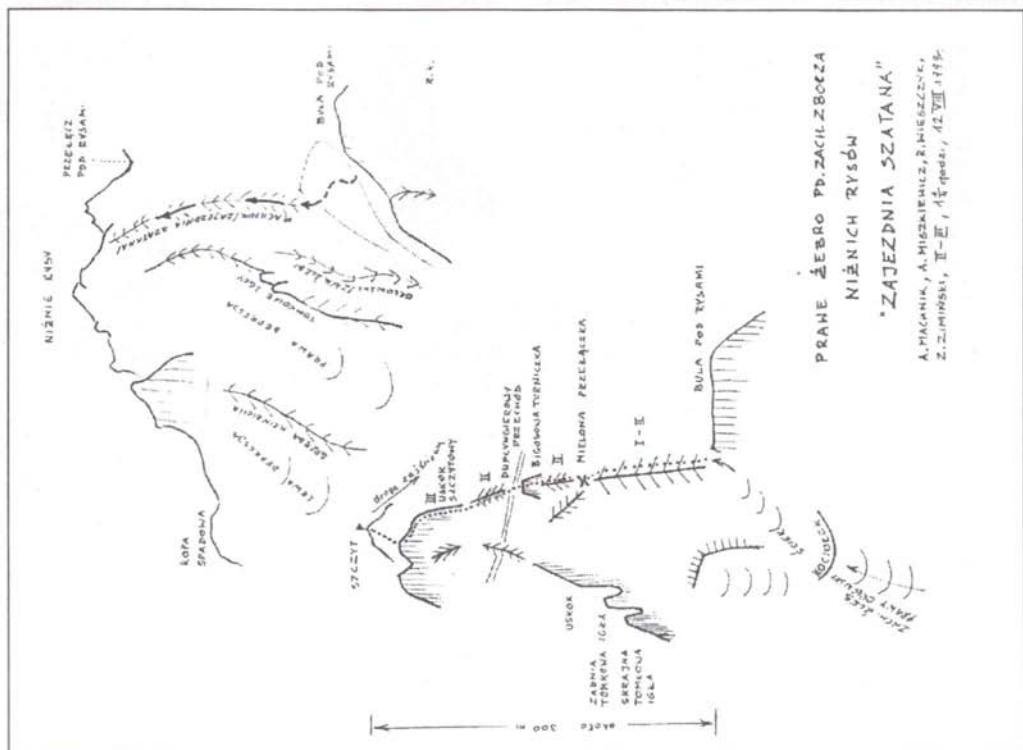
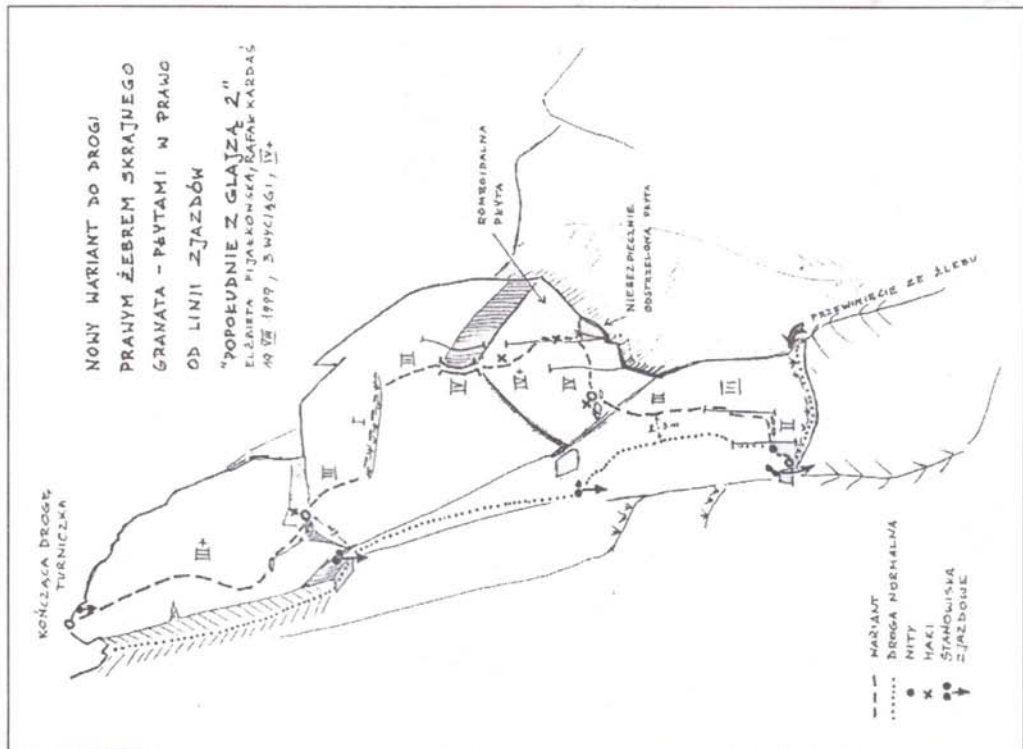
Opis:

Droga startuje w najniższym punkcie lewej części zachodniej ściany na prawo od małej nyży. Pierwszy wyciąg (45 m) wiedzie płytą o trudnościach do V+. Ze względu na brak naturalnej asekuracji został wyposażony w komplet ringów. Drugi wyciąg biegnie wspólnie z Droga Kajki. Rozpoczyna się trawersem po trawiastej półce w prawo, a na następne wiedzie zacięciem (V) w lewo w skos (2 haki) na drugie stanowisko (dwa ringi). Trzeci wyciąg startuje ze stanowiska położoną płytą w górę (ringi wyznaczają kierunek wspinania) do płytkiego zacięcia (III). Zacięciem idziemy około 7 metrów (V-) po czym mając trzeci ring na wysokości kostek należy wytrawersować w lewo (V+). Uwaga: stoper po trawersie należy przedłużyć długą pętlą. Następnie idziemy wprost przez okapik (asekuracja z frienda i ringa) na położone płyty poprzecinane obłymi rysami (V+). Dalej płytami wprost w górę na trzecie stanowisko (IV+). Z tego stanowiska można przetrawersować w lewo w skos (IV+) na czwarte stanowisko pod załupą na drodze Byczkowskiego i nią V+/VI- wyjść na ostatnie stanowisko naszej drogi. „Lobby Instruktorskie” z trzeciego stanowiska idzie wprost w górę przez przewieszenie (VI.2), a następnie w prawo w skos na czwarte stanowisko (na całym wyciągu ringi wyznaczają kierunek wspinaczki, należy zabrać kostki i friendy).

Droga świetnie nadaje się do zjazdów (trzy zjazdy, należy posiadać linę 2x50 metrów) po zakończeniu wspinaczki drogą Byczkowskiego (V+/VI-), drogą „Lobby Instruktorskie” (VI.2), drogą Kajki (VI), Lewą Drogą Wolfa (VI.3) i drogą Leszka Dziędzielewicz (V+). Unikamy w ten sposób zbędnego chodzenia, gdy chcemy zrobić kilka dróg w tej części ściany w ciągu jednego dnia. Plecak można pozostawić w małej nyży obok startu w naszą drogę.

Piotr Drobot





Suplement do: „Asekurujemy i jedziemy...”

W lipcu bieżącego roku miał miejsce wypadek w czasie szkolenia wstępnego. Bezpośrednią przyczyną było używanie przyrządu do asekuracji i zjazdu zwanego „ósemką”. Sposób jej użycia odbiegał znacznie od sposobu do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni – i jaki zalecają producenci.

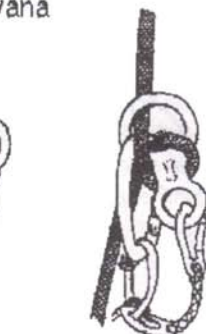
Dokonałem na wniosek Komisji Szkolenia PZA testów z zastosowaniem tzw. ósemki automatu – bo taką nazwę wprowadzono na użytek ćwiczących z tym przyrządem. Nazwa określa zasadę działania „patentu”. Jest to specyficzny sposób wpięcia ósemki – tak aby działał system jej samoblokowania (szkic) przy pomocy ciężaru osoby obciążającej przyrząd lub udaru, który przy szarpnięciu liny blokuje ją w przyrządzie. Spotkałem się również z stwierdzeniem, że jest to właściwie patent, który działa jak Gri-Gri firmy PETZL®. To stwierdzenie uważam za eufemizm.

Z różnymi osobami (stopień zawansowania w sztuce wspinaczkowej: od nowicjusza do „zawodowca”, waga osób była również różna) wykonałem zjazdy i czynności asekuracyjne.

Na tej podstawie sformułowałem poniższe wnioski:

- przyrząd w czasie zjazdu zachowuje się stabilnie jedynie w pozycji zablokowanej
- sposób wpięcia liny jest niejednoznaczny – można źle wpiąć „automat” na linę i spowodować, że nie będzie on działał
- aby go odblokować trzeba użyć sporo siły, kontrola zjazdu dość kłopotliwa
- w czasie nieprzewidzianej sytuacji awaryjnej można odruchowo złapać za karabinki z „expressu”, odblokować przyrząd i doprowadzić do niekontrolowanego spadania (brzmi to jak zaprzeczenie powyższego punktu, ale tak się stało w czasie testów)
- zabezpieczenie przed wypadnięciem liny za pomocą karabinka uważam za niewystarczające, w sytuacji, gdy w czasie zjazdu lina zostanie odciążona, przyrząd staje się podatny na zsuniecie się z niego liny

Pozycja zablokowana



Pozycja odblokowana

Rys. B. Krauze

– w czasie podawania liny przy czynnościach asekuracyjnych, szybkie podanie liny powoduje, że patent blokuje się w najmniej spodziewanym momencie

Uważam, że „ósemka automat” to niepotrzebne skomplikowanie prostego urządzenia. Dla mało wprawnych manualnie wspinaczy wręcz niebezpieczne (wypadek w skałkach). Może spowodować niekontrolowane przyspieszenie w czasie zjazdu. Przydatność „automatu” jest również wątpliwa od strony szkoleniowej, lepiej używać rozwiązań sprawdzonych niż pomysłów błyskotliwych z pozoru, ale nie do końca bezpiecznych. Opinie środowiska wspinaczkowego w którym się znajduję na temat ww. patentu nie potwierdziły cytując: „... egzystowania od 2-3 lat w środowisku” (którym?).

Reasumując – Komisja Szkolenia PZA nie zaleca używania „ósemki automatu” przez wspinaczy i kategorycznie zabrania używania jej w procesach dydaktycznych na kursach szkoleniowych, sygnowanych przepisami PZA.

Darek Porada
Komisja Bezpieczeństwa PZA

Pożegnania

Ryszard Kozioł

Latem tego roku zginął w wypadku ulicznym instruktor senior Ryszard Kozioł, członek Klubu Wysokogórskiego w Krakowie.

Zmarły był profesorem w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, wybitnym specjalistą w zakresie automatyki przemysłowej. Dla ruchu wysokogórskiego zasłużył się długoletnią pracą społeczną oraz skuteczną realizacją wielu znakomitych pomysłów. Był prezesem Koła Przewodników Tatrzańskich, przez kilka kadencji prezesował w Kole Krakowskim Klubu Wysokogórskiego, piastował funkcje kierownicze w organizacjach centralnych, najpierw jako wiceprezes Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego, a później wiceprezes Polskiego Związku Alpinizmu. W roku 1973 powołał do życia Studium Trenerów Alpinizmu przy AWF w Krakowie, którego był pierwszym kierownikiem. Do jego zasług należy między innymi utworzenie 25 lat temu COS PZA z siedzibą na Hali Gąsienicowej, redagowanie Informatorów Szkoleniowych Instruktorów Taternictwa oraz zorganizowanie pierwszych ogólnopolskich zawodów wspinaczkowych.

Ryszard miał za sobą ponad 30 sezonów wspinaczkowych latem i zimą. Do Jego osiągnięć należy zaliczyć przejście w ciągu 14 dni głównej grani Tatr, ściśle ostrzegam nie omijając żadnej turni ani szczytu. W Hindukuszu zdobył Kuh-e-Tez (7015 m), wspiął się ponadto w Alpach Sabaudzkich i Alpach Julijskich, górach Norwegii (między innymi pokonał filar Trollryggen), górach Turcji, Bułgarii i Rumunii oraz w górach Iranu.

Ryszard oprócz szkolenia taternickiego z pasją oddawał się działalności turystycznej i narciarskiej. Był przewodnikiem turystycznym, posiadał ponadto uprawnienia przodownika GOT do prowadzenia wycieczek na terenie Tatr Polskich i Słowackich.



Mało kto wie, że był także członkiem Yacht Clubu i posiadał prawo pływania na jachtach pełnomorskich. W ostatnich latach skoncentrował się na pracy naukowej i dydaktycznej w swojej rodzimej uczelni. Nic nie zapowiadało nieszczęścia, w deszczowy dzień szedł zamyślony ulicami Krakowa...

3 lipca pożegnaliśmy Ryszarda na krakowskim Salwatorze. Odszedł od nas człowiek prawdziwy. Cześć Jego pamięci.

Wojciech Świącicki

Zyga

Minęło dziesięć lat. Dziesięć lat od tragedii, gdy to lawina pod Everestem zabrała ówczesną czołówkę polskiego alpinizmu. Między nimi był i Andrzej Heinrich.

Któż o nim nie słyszał? Był tak znaną postacią, że cokolwiek by napisać – to i tak będzie mało. Dla wielu – wzór do naśladowania. Guru polskiego himalaizmu wyprawowego, z doświadczeniem przypisywanym tylko nielicznym seniorom. Przydomek „Dziadek” od pewnego czasu przyłgął do niego. Nie obrażał się z tego powodu.

Wieloletnia działalność górską przysporzyła mu przyjaciół tak w kraju, jak i w różnych częściach świata. Wszędzie, gdziekolwiek pojawił się był wylewnie i serdecznie witany. Idąc w karawanie z wyprawą przez nepalskie ścieżki spotykał dawnych towarzyszy wspomagających wtedy polskie ekspe-

dycje; ówczesnych sirdarów, tragarzy, kucharzy i innych, którzy teraz prowadząc maleńkie, przydrożne knajpki, restauracyjki i hoteliki serdecznie witali go, zapraszając w swe progі. Mimo że góry czekały i czas naglił – zawsze znalazł chwilę, by pogadać i powspominać. Z każdym zamienił kilka słów, każdy też chciał go ugościć jak najlepiej.

W krakowskim środowisku znali go wszyscy. Począwszy od kursantów, których egzaminował, skończywszy na towarzyszach wypraw w Góry Wyokie i tych „od liny” z którymi wiązał się na wspinaczkach. Wielki, groźnie wyglądający brodac z sercu gołębia zawsze i wszystkim służył radą i pomocą, bez względu na to kto jej potrzebował. Jego troska o partnera porównywalna może być jedynie z ową sławną zasadą wypowiedzianą kiedyś przez człowieka-legendę lat ubiegłych – Wawrzyńca Żuławskiego.

W górach Andrzeja spotykało się w wielu miejscach. Czy to w schronisku, w drodze na tabor lub też na tatrzańskim ścieżce, gdy szedł pod ścianę. Był wszechstronny i mimo że już niemłody – to w Podkrakowskich Dolinkach swymi osiągnięciami dorównywał skałkującej młodzieży. W górach i w skałkach miał swoje wspinaczkowe drogi i pierwsze przejścia. Choć na trwałe wpisał się w polski alpinizm – nie gonił za sukcesami.

Osobiście Andrzeja poznałem dopiero w kościele w Mistrzejowicach, na jednej z wielu mszy za Ojczyznę, które w tych ciężkich czasach, w każdy czwartek odprawiał ksiądz Kazimierz Jancarz. Wszyscy wiedzieli, że w tych politycznie trudnych, po 1981 roku latach Andrzej jest aktywny. Nie dane mu jednak było cieszyć się wolnością w 1990 roku.

Wtedy po krótkiej, zdawkowej prezentacji i pierwszych grzecznościowych zwrotach per „pan”, powiedział mi wprost:

– Przyjaciele mówią do mnie Zyga.

Jakże ujęło mnie to jego otwarcie i bezpośredniość. Przyznam, że nie spodziewałem się tego i byłem wtedy mile zaskoczony. Ale taki był Andrzej.

Od tego to okresu datują się nasze spotkania. Choć za każdym razem rozmowy zataczały szerokie kręgi, to mimo wszystko schodziły na zasadniczy temat, którym były góry. To nas łączyło najbardziej. Kochał je jak wszyscy, którym dają radość życia i możliwość oderwania się od uciążliwości i utrapień cywilizacji. Opowiadał o wyprawach, o całej tej – jakże odmiennej otocze i egzotyce związanej z każdym wyjazdem w Himalaje. Wtedy to zapalały mu się oczy i widać było, że myślimi biegnie hen ku ośnieżonym i niebotycznym szczytom. Jakby przenosił się do tej okruszyny

serca, którą tam – w górach zostawił. Świetnie fotografował swym maleńkim aparacikiem. Jeszcze dziś prezentowane są piękne, dotąd nie publikowane górskie zdjęcia jego autorstwa.

Maj to często piękny okres w górach. Wiosna nieśmiało wdziera się w doliny, grzejąc szorstki, ledwo co wyłaniający się spod śniegu, pokryty porostami tatrzański granit. Ostatni, majowy weekend 1989 roku spędzałem w Tatrach. Święto Bożego Ciała dawało okazję do dłuższego pobytu. W ciągu tych kilku dni wszystkie schroniska pękały w szwach. Było ciepło, słonecznie – wymarzona pogoda, by pójść gdzieś wysoko.

W piątek, 26 maja, wybrałem się turystycznie na Kozi od Pustej Dolinki. Kilka zespołów wspięło się Zamarą. Największe wzięcie jak zwykle miała droga Motyki. Pech chciał, że właśnie na Zamarłej, tuż po skończeniu „Lewego Heinricha” wydarzył się wypadek. Zginął młody człowiek. Siedząc na wierzchołku byłem świadkiem akcji ratunkowej z udziałem śmigłowca. Każda śmierć górską jest tragedią, nie tylko dla najbliższych. Wieczorem, zanurzony w śpiworze, w zatłoczonym i gwałnym schronisku w Pięciu Stawach długo nie mogłem zasnąć. Wypadek na Zamarłej nie dawał mi spokoju.

Sen w końcu przyniósł upragnioną ulgę. Na moment wróciły wspomnienia, jakieś dawne spotkania z Andrzejem, który od dwóch miesięcy przebywał pod Everestem. Czekałem na jego szczęśliwy powrót i opowieści o górach, o których jak sobie potem zdałem sprawę mogłem tylko pomarzyć. Wierzyłem w Opatrzność, która już wielokrotnie ratowała Go z różnych opresji. Zawsze wychodził cało, wiedział kiedy trzeba się wycofać, potrafił zawrócić z końcowej drogi do wierzchołka i nigdy nie traktował tego jako porażki. Sam fakt przebywania w górach cenil najwyższej.

Tragiczna wiadomość – jak grom z nieba – spadła na mnie w dniu powrotu, w niedzielę, gdy w wieczornych dzienniku telewizyjnym podano listę ofiar. Ucisk gardła, smutek i ten wielki, wielki żal.

Kościół Św. Józefa w Rynku Podgórskim w milczeniu zebrał wszystkich, których tragedia na Everestcie dotknęła boleśnie. Kto tylko mógł, zjawił się, by pożegnać tych, co zostali na stokach Khumbutse. Starym zwyczajem Jurek Wala stojąc w kościelnej kruchcie nie bez trudu upychał stertę banknotów, obficie spywających do wystawionej czapki. Coś się skończyło, choć dopiero prawie zaczęło. Dalsze himalajskie sukcesy przyszły potem. Liczne zimowe wyprawy, Korony Himalajów zdobyte po wielokroć, choć też nie bez ofiar. Zyga nie doczekał. Na zawsze pozostał w górach, które kochał. W śniegach Himalajów, którym się poświęcił.

Wielu nam Go brakuje.

PS. To byłoby na tyle. Nie podpisuję tekstu, bowiem takie wspomnienie mógłby napisać każdy, kto dobrze znał Andrzeja. Byli tacy, którzy znali go chyba lepiej ode mnie, ale czynię to ja – po 10 latach.

Moje wspomnienie o Heinrichu ma ciąg dalszy, lecz nie nadaje się do publikacji. Prywatnie mogę tylko wyznać, że tego samego nieszczęsnego – 1989 roku po raz kolejny zawitałem do Pięciu Stawów na przełomie sierpnia i września. Status statego bywalca dawał mi komfort posiadania łóżka w schronisku bez wcześniejszej rezerwacji. Którejś nocy byłem świadkiem nalotu na glebowiczów licznie waletujących na podłodze. Ówczesna szefowa recepcji Miśka (Michalina – góralka z dołu, chyba z Małego Cichego) robiła to co jakiś czas.

Waleci jak zwykle byli bez grosza i grzeczenie

odrabiali darmowe noclegi zajmując się do różnych prac porządkowych wokół schroniska.

Koło mnie na podłodze spała dziewczyna. W czasie nalotu wpadła w panikę. Ulitowałem się nad nią i schowałem do śpiwora. Była mi wdzięczna za ten ratunek.

Rano od słowa do słowa i okazało się, że też trochę się wspina i w końcu wyszło, że miała związek z owym majowym wypadkiem na Zamarłej. Tym co zginął był jej partner z KW Jastrzębie, a z dalszej rozmowy wyczuwało się, że chyba i jej chłopak.

Jakieś dziwne koło zamknęło się wokół tej sprawy, której nijak nie mogę wytłumaczyć. Kiedyś cechował mnie racjonalizm i naukowe podejście do świata. Po tym splocie wydarzeń wiele się zmieniło. Zacząłem wierzyć w sny, skłaniać się ku teorii wyższości ducha nad ciałem. Chyba coś w tym jest.

Andrzej

Listy

W wydanej niedawno książce Macieja Kuczyńskiego „Tatrzańskie dramaty” (wydawnictwo ABC Future) znalazł się m.in. opis znanego wypadku na drodze Świerza na Wielkim Mięgoszu w r. 1992, w którym śmierć poniósł Jerzy Hirszowski, instruktor PZA oraz trójka jego uczniów: Magdalena Dąbrowska, Małgorzata Czubasiewicz i Marcin Tomczyk. Zdaniem PZA, to „bardzo rzetelnie przedstawiona wersja wypadku” („Taternik” 2/99 s. 31). Trudno się z tym zgodzić. Uważam, że ocena wypadków wspinaczkowych jest na ogół bardzo trudna, zwłaszcza jeśli nie ma on świadków. W opisie Kuczyńskiego budzi zdziwienie interpretacja decyzji podejmowanych przez instruktora jako prawidłowych i jak najbardziej uzasadnionych, podczas gdy opisany przez niego przebieg wypadku sugeruje, że podjęto właśnie szereg niewłaściwych decyzji. Np. wybór drogi. Jak wiadomo droga Świerza, tak jak każda na ok. 400 m wschodniej ścianie Mięgosza, jest wymagająca w tym sensie, że jest ona stosunkowo długa i z powodu znacznej kruszyzny niebezpieczna. Na jej połogich fragmentach, prowadzenie liny w skalnym rumoszu w letnich warunkach jest niebezpieczne, zwłaszcza dla zespołu wieloosobowego. Wycof z takiej drogi z powodu kruszyzny i kłopotów ze stanowiskami może

być bardzo trudny. Czteroosobowy zespół w składzie instruktor i 3 uczniów wydaje się być właściwym tylko na krótkie i bezpieczne drogi, z których istnieje możliwość – w razie załamania pogody – prostego i szybkiego wycofu.

W. Janowski

W „Taterniku” nr 2/99 Sławomir Ejsymont, członek Zarządu PZA, polemizuje z Leszkiem Cichym w artykule „W odpowiedzi «zrezygnowanemu» prezesowi”, m.in. wytykając byłemu prezesowi PZA – jak się wyraził Ejsymont – nieszablone propozycje, jakimi było – zdaniem Ejsymonta – zaproponowanie Aleksandra Lwowa, redaktora „GiA”, na funkcję rzeczownika PZA oraz próba dokonania zmiany w składzie Komisji Wspinaczki Sportowej. „Dokładnie chodziło o wprowadzenie do komisji drugiego przedstawiciela klubu Reni Sport (niewtajemniczeni nie wiedzą, że Leszek Cichy posiada udziały w tym klubie)” – napisał Ejsymont. Przy okazji tego cennego spostrzeżenia, nie od rzeczy wydaje się propozycja, aby jako zasadę przyjmując, że wszyscy członkowie Zarządu i Komisji PZA składają Komisji Rewizyjnej oświadczenia o udziałach w firmach związanych z alpinizmem i wspinaniem, aby zapobiec nieuczciwej konkurencji i popieraniu poprzez decyzje Związku własnych lub rodzinnych interesów.

W. Janowski

50 LAT KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO W KATOWICACH



Z inicjatywy dr. Marka Korowicza, członka honorowego KW PTT, mgr. Zbigniewa Mikiewicza i Franciszka Kłosińskiego z poparciem dr. Kazimierza Dorawskiego założono Koło Śląskie Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie w Katowicach. Do grona członków założycieli należeli między innymi: Zbigniew Abgarowicz, Zdzisław Dziędzielewicz, Władysław Manduk oraz Janusz Chmielowski, nestor polskiego taternictwa

Dla niektórych obecnych klubowiczów jest to prehistoria.

Garść statystyki:

780 zarejestrowanych członków klubu w ciągu 50 lat. W chwili obecnej aktywnych jest 180. Mieliśmy 16 prezesów, 10 siedzib klubu. Zorganizowaliśmy 115 wypraw i wyjazdów, z tego 50 w Himalaje, 10 w Andy, 7 w Karakorum, 6 na Alaskę, do Afryki Wschodniej 5, w Pamir 5, do Patagonii 4, w Hindukusz 4, Ameryka Płn. Yosemite 3, reszta to grupy górskie na całym świecie.

Dwóch członków naszego klubu zdobyło Koro-

nę Himalajów. Zorganizowaliśmy cztery Przeglądy Filmów Górskich. 37 instruktorów alpinizmu i taternictwa w historii klubu szkoliło na ok. 100 kursach wspinaczkowych różnego stopnia.

Łza się w oku kręci, że 16 naszych kolegów nigdy nie wróciło z gór....

2 października 1999 w schronisku nad Morskim Okiem w Tatrach spotkały się różne pokolenia klubowiczów. Krótkie pokazy slajdów – między innymi poświęconych Jurkowi Kukuczce oraz wspomnienia i anegdoty nestorów i młodzieży spowodowały, że atmosfera była wspaniała. Rodzinny klimat stworzyła Marysia Łapińska oraz obsługa schroniska – jak za dawnych lat jadalnia do późnych godzin nocnych rozbrzmiewała gwarem i słowackimi piosenkami. Było wspaniale i postanowiliśmy spotkać się znowu za... pięćdziesiąt lat.

Dziękujemy Marysio.

Darek Porada

Nauka haczenia

W dniach 8-10 września 1999 r. zespół Robert Sieklucki (znany jako Menel) i Paweł Olek (znany jako Bakteria) dokonali pierwszego letniego przejścia całości najtrudniejszej hakowej drogi w Tatrach Polskich „Nauka haczenia” V+a4+. Droga została otwarta w lutym 1996 roku przez zakopiańczyków – Jana Muskata i Zbigniewa Zajacę. Rok później we wrześniu Grzegorz Bittmar i Zbigniew Zajac przeszli dwa najtrudniejsze wyciągi hakowe (A3+ i A4+) omijając kominem Mroza dolne wyciągi, które określono jako niewkaszalne latem.

8 września pomimo niesprzającej aury Robert z Pawłem rozpoczęli wspinanie od samego dołu drogą oryginalną, po 6 godzinach wspinaczki dotarli pod wielki okap, gdzie założyli stanowisko i zjechali do podstawy ściany na noc. Pierwszy wyciąg wyceńnili V+ 1xA0 (pierwotnie A2), drugi wyciąg V+ 2xA0 (pierwotnie A1-). Następnego dnia po poręczy dotarli pod wielki okap, który przeprowadził Paweł. Jest to bardzo wyężdżający wyciąg A3+ prowadzący

przez jednostajnie przewieszanie przechodzące później w okap. Prowadzącemu zajęto przejście tego terenu 6 godzin. Po dotarciu na stanowisko zjechali pod wielki okap, gdzie zabiwakowali w niży około 10 m na lewo od stanowiska przed wyciągiem w okapie. 10 września po linie dostali się na półwieszające stanowisko przed kluczowym wyciągiem A4+. Robertowi zajęło prowadzenie 5 godzin, po drodze zaliczył spory lot z wyrwanym copperheadem. Po wyciągu A4+ już w miarę łatwym terenem 2,5 godziny na szczyt. W sumie wspinali się przez 23,5 godziny i przez 5 godzin poręczowali poszczególne odcinki, co określa czas przejścia na około 30 godzin.

Warto również nadmienić, że zespół ten pokonał w czerwcu 1999 roku mityczną już drogę hakową w Tatrach Wysokich „Polski Muppet Show” A3+ na Ministrancie. Zajęto im to 2 dni z biwakiem w ścianie. Co po ostatnim sukcesie stawia ich pośród czołowych polskich „hakmenów”.

Robert Sieklucki



Jaskinie i speleologia

Austria – Tennengebirge Ost Czerwony Pająk wydłuża łąpy

Wyprawa Speleoklubu Bobry z Żagania trwała w tym roku trzy tygodnie: od 25 lipca do 14 sierpnia. Kilkunastoosobowa ekipa działała od początku w jaskini Czerwony Pająk (P-19). Eksplorację zamierzaliśmy prowadzić w tzw. Dolnych Gangach – szerokich, zawaliskowych korytarzach odchodzących z Sali z Dziurawym Stropem na głębokości -315 m. Przerwaliśmy tam działalność w ubiegłym roku. Jeden z ciągów kontynuuje się w kierunku południowym, nieprzerwanie prowadzi w górę stopniowo zataczając pętlę na zachód i północ. Na poziomie -170 m nieoczekiwanie zwęża się on i przechodzi w trzy kominy. Z braku sprzętu wspinaczkowego eksplorację w tym miejscu przerwano.

Druga część gangu z Sali z Dziurawym Stropem kończy się nieco szybciej, sprowadzając do zagruzowanego i zamulonego dna na głębokość -400 m. Łącznie poznaliśmy w Gangach prawie 1 km korytarzy i przenieśliśmy działalność w kaskady za Meandrem Topielców, w których puściło jedynie 25 m w dół. Dalszą drogę uniemożliwiała zacieśniająca się szczelina z wodą (głębokość -400 m).

Zajrzeliśmy też w okna w górnej części studni Wielki Świstak (głębokość -100 m), co zaowocowało odkryciem pięknych, naciekowych, długich na 500 metrów Ciągów Weteranów z obszerną Studnią Dziadka. Na dnie tej studni, zajmując jego niewielki fragment, leży wana wielkości sporej willi. Z tego miejsca łatwą wspinaczkę zatoczyliśmy dwie obszerne pętle: jedna doprowadziła do okna pod stropem Studni Dziadka, druga do okna w stu-

dni Wielki Świstak. Zakończyli to eksplorację Ciągu Weteranów (w sumie ponad 500 m nowego).

Innym spektakularnym wydarzeniem tegorocznej wyprawy było przypadkowe znalezienie nowej, dużej jaskini, przy okazji znakowania otworów jaskiń już znanych i skartowanych. Otrzymała ona nazwę Pod Modrzewiem i numer P-77. Tu eksploracja potoczyła się sprawnie i szybko. Jest to ciąg studni i opadających korytarzy, biegnących nieprzerwanie w kierunku północno-zachodnim aż do głębokości -440 m. Tam eksploratorów zatrzymała zbyt wąska szczelina z wodą (jak w Czerwonym Pająku). Jaskinia ma już prawie 800 m długości i podąża dokładnie w stronę Czerwonego Pajaka. Jest też bardzo do niego podobna. Ciekawe, czy to ten sam system?

W sumie odkryto i zmierzono ponad 2 kilometry nowych korytarzy w dwóch jaskiniach. Czerwony Pająk przekroczył już 3 kilometry długości, Pod Modrzewiem ma dopiero 800 m, ale być może to jeszcze nie koniec – za rok ciąg dalszy eksploracji.

Była to już szesnasta wyprawa Bobrów w Tennengebirge, obchodziliśmy w tym roku dwudziestolecie działalności w tym rejonie i kontaktów z DAV – właścicielem schroniska – naszej bazy. Z tej okazji odbyło się spotkanie obecnych i dawnych uczestników wypraw z członkami i zarządem DAV – Sektion Laufen. Uczestniczyło w nim prawie 60 osób (29 z Polski).

Uczestnicy wyprawy „Austria”: Halina Zyżańska – kierownik, Artur Nowak i Piotr Pilecki („Gawra” Gorzów), Wit Dokupil, Marcin Furtak, Rajmund Kondratowicz, Franciszek Kramek, Tomasz Koźnicki, Daniel Oleksy, Wiesław Zięba, Henryk Zyzanski i kierowca.

Rajmund Kondratowicz

W Leoganger Steinberge

Pogłębienie Lampo było celem kolejnej wyprawy działającej w górnej części systemu. W Jaskini PL-2 wyeksplorowano ciągi wodące w kierunku kolejnego potencjalnego połączenia z położoną ok. 60 m wyżej CL-3. Próby podjęte od strony tej ostatniej (znanej dotychczas do ok. -60 m) dały również interesujące rezultaty. Odkryto w niej obszerne galerie i osiągnięto głębokość -350 m.

W Hoher Göll

Wyprawa poznańsko-katowicka (25 VII – 29 VIII 99) odkryła łącznie ponad 2,5 km korytarzy. Poznano 10 nowych jaskiń, w jednej z nich osiągając

głębokość -350 m (otwarty problem – eksplorację przerwano w potężnej studni).

Wielka Śnieżna ma kolejny otwór

Spełniły się zapowiedzi grotolazów z SG Wrocław (por. T.2/99). W pierwszej połowie września, po 3 dniach prac eksploracyjnych, największy system jaskiniowy Polski wzbogacił się o nowy, nisko położony otwór. Znajduje się on w eksponowanym terenie, ok. 80-100 m powyżej Jaskini przy Przechodzie, nie będzie miał więc raczej znaczenia komunikacyjnego. Prowadzi do Wilczego Ciągu – korytarzy rozpoczynających się oknem z Katedry w Partiach za Kolankiem. Połączenia odkrytej w październiku ubiegłego roku niewielkiej jaskini z systemem Wielkiej Śnieżnej dokonali Rafał Mateja, Tomasz Sobański i Marek Wierzbowski.

Piotr Poloczek

W KOLEJCE DO „KULUARU” ... CZYLI PO CZYM SIĘ WSPINAMY

... zima

Panuje opinia, że tatrzańska zima przyciąga jedynie prawdziwych mężczyzn. Oponenti – głównie w postaci miłośników października – z politowaniem pukają się w czoło, wspominając coś na temat masochizmu. W każdym razie nie trzeba wnikliwych badań, by zauważyć, że wspinaczka zimowa jest uprawiana przez niewielkie grono osób.

W badanym przeze mnie okresie grudzień '85 – kwiecień '98 wspinaczki zimowe stanowiły około 21% wszystkich wspinaczek w Dolinie Rybiego Potoku. W ostatnich latach udział ten wzrósł do około 28%. Dane te nie obejmują wspinaczek nie odnotowanych, które prawdopodobnie rzadziej zdarzają się zimą. Działalność wspinaczy jest wtedy o wiele bardziej ryzykowna i zabezpieczenie pomocy służb ratowniczych jest bardziej konieczne. Stąd faktyczny udział wspinaczek zimowych jest nieco mniejszy. Wydaje się, że na dużą różnicę

w proporcjach sezonów letnich i zimowych nie ma wpływu dłuższy o dwa miesiące czas trwania sezonu letniego. W maju i listopadzie, które są zaliczane do taternickiego lata, ilość wspinaczek jest bardzo mała.

Popularność taternictwa zimowego zmienia się niezależnie od trendów panujących w taternictwie letnim. Z otrzymanych danych wynika wręcz, że jest ona odwrotnie proporcjonalna. Po obfitującym we wspinaczki sezonie letnim następuje zwykle spadek – w porównaniu do poprzedniej zimy – wspinaczek zimowych. Z kolei malejącą tendencjom wspinaczek bez pokrywy śnieżnej towarzyszy wzrost aktywności taterników w sezonach zimowych.

Największą liczbę przejść zimowych odnotowano na Mnichu. O ile do początku lat 90. liczba wspinaczek tego rejonu w sezonie zimowym oscylowała wokół 40, to w następnych sezonach często przekraczała 80. Supremacja tego rejonu

najdobitniej zaznaczyła się w sezonie zimowym 95/96, kiedy w jego obrębie dokonano około 40% wszystkich wspinaczek w otoczeniu Moka.

Większość wspinaczek w rejonie Mnicha (60%) przypada na typowo zimowe formacje Progu Dolinki za Mnichem. Najpopularniejszą drogą zimową rejonu Morskiego Oka jak i całych Tatr Polskich jest zdecydowanie Kular Kurtyki. Wspinaczki na Kularze stanowiły w badanym okresie 9,5% wszystkich przejść zimowych w Morskim Oku. Udział tej drogi w ostatnich sezonach wzrósł do 12%. Oznacza to że jedna z ośmiu wspinaczek na terenie Doliny Rybiego Potoku dokonywanych w okresie grudzień – kwiecień przypada na Kular. Ilością przejść droga ta śmiało konkuruje z najpopularniejszymi drogami letnimi tej doliny. W rankingu najbardziej obleganych dróg letnich i zimowych Moka (lata 1986-1997) plasuje się ona na czwartym miejscu (!) tuż za innymi drogami rejonu Mnicha: Orłowskim, Klasyczną i Kantem Klasycznym. Dużą frekwencję na Kularze zasygnalizował w 1993 roku Władysław Cywiński (Taternik 1/93). Fenomenem popularności tej drogi odzwierciedla pewne tendencje zachodzące od dłuższego czasu w całym taternictwie powierzchniowym. Następuje zawężanie terenu działania do najbardziej dostępnych i atrakcyjnych rejonów. Czynnikiem, które wydają się mieć większe znaczenie, jest łatwość podejścia oraz długość dróg. Nie bez znaczenia jest też możliwość dogodnego wycofania się ze ściany, co w warunkach zimowych przy krótkim dniu i wyczerpującej wspinaczce ma duże znaczenie.

W okresie zimowym słabnie zainteresowanie rejonami Wołowego Grzbietu, Niżnych Rysów, Kopy Spadowej. Od czterech sezonów dało się zauważyć wzmocniony ruch w rejonie Kazalnicy (ok. 60 przejść w jednym sezonie zimowym), jednak jest to spowodowane ogólnym wzrostem liczby wspinaczek zimowych w tym okresie.

Z rejonów o największym zimowym ruchu taternickim tylko Mnich oraz Cubryna i Turnia Zwornikowa Cubryny wykazują skokowy wzrost popularności wspinaczek z pokrywają śnieżną. Rejon Cubryny i Turni Zwornikowej jest czwartym po Mnichu, Kazalnicy i MSW co do ilości przejść zimowych. Jego średnia wynosi około 36 wspinaczek w sezonie zimowym, z czego zdecydowana większość przypada na Turnię Zwornikową. Pomijając Żabią Czubę, Cubryna i Turnia Zwornikowa jest najbardziej „zimowym” z rejonów wspinaczkowych Doliny Rybiego Potoku. Jako jedyny z liczących się rejonów Moka, charakteryzuje się przewagą wspinaczek zimowych nad letnimi – około 62% to przejścia w okresie zimy. Najmniejszy odsetek wspinaczek

zimowych mają rejon Zadniego Mnicha (2,6%), Żabiej Lalki (3%), Żabiego Szczytu Wyżniego (5,6%) i Kopy Spadowej (5,8%). Najbardziej „honorny” rejon Kazalnicy ma wyważone proporcje – 44,4% przejść w tym rejonie to wspinaczki zimowe.

O ile zimowe wspinanie w otoczeniu Morskiego Oka ma się nienajgorzej, to w Dolinie Gaśienicowej ma ono charakter incydentalny. Wspinaczki w okresie taternickiej zimy stanowiły w badanym okresie zaledwie 5% wszystkich odnotowanych przejść tej doliny. Najczęściej taternicy pojawiali się na Granatach (3 razy w sezonie), Kościelcu i Świniicy (po 8 razy).

... lato

Podstawową formą taternictwa są wspinaczki dokonywane w okresie taternickiego lata. Termin ten odnosi się do okresu od maja do końca listopada każdego roku. W praktyce zdecydowana liczba wspinaczek letnich ma miejsce w lipcu i sierpniu. Udział wspinaczek letnich na terenie Doliny Rybiego Potoku wynosił w badanych latach około 80% wszystkich wspinaczek w tej dolinie. Doliczając do tego wspinaczki nie odnotowane, to rzeczywisty udział przekroczy 90%. Od kilku lat proporcje te zmieniają się na niekorzyść sezonów letnich. Ich rzeczywisty udział wynosi już tylko około 80%.

W statystykach letnich, podobnie jak zimą, niepodzielnie króluje rejon Mnicha. Jego udział w liczbie wspinaczek doliny wzrósł z 30% w lecie 1987 do 46% w lecie 1997. Prawdopodobnie w ubiegłym sezonie letnim połowa wszystkich wspinaczek nad Morskim Okiem miała miejsce na Mnichu. Każdego lata jego formacje są celem około 330 wspinaczek (ok. 55 wspinaczek w miesiącu). Mnich dzierży również pozostałe rekordy. Jego płn.-zach. ściana jest najbardziej obleganą formacją w otoczeniu Morskiego Oka. Aż pięć z ośmiu najpopularniejszych dróg Morskiego Oka, po jakich chodzono w ciągu minionych kilkunastu lat, prowadzi na wieżchołek Mnicha. Są to trasy typowo letnie. Absolutny prym wiodą drogi Orłowskiego i Klasyczna – około 50 wspinaczek w roku. Ta ostatnia jest prawdopodobnie często mylona z nazwą z drogą „Przez Płyte”, co jednak jest trudne do sprawdzenia.

Drugim pod względem ilości wspinaczek jest rejon MSW.

W okresie lata dokonuje się tam około 110 przejść na sezon. Kolejne miejsce zajmują: Żabi

Mnich (95 przejść na sezon), Kazalnica (ok. 60 przejść) Kopa Spadowa (ok. 55 przejść), Zadni Mnich (ok. 47 przejść). Wśród wymienionych rejonów rośnie udział Kopy Spadowej i MSW (czołówka).

Nieznacznie tracą rejon: Kazalnicy, Żabiego Mnicha, Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego i Niżnich Rysów. Zmiany są spowodowane tą samą tendencją, która ma miejsce zimą. Otóż zarówno latem jak i zimą taternicy coraz częściej wybierają jako cel wspinaczek rejon położone blisko baz wyjściowych, o łatwym podejściu oraz bezpiecznej drodze odwrotu. Częściej pokonywane są drogi krótkie o nieskomplikowanej topografii, biegnące w litej skale, wyposażone zwykle w dużą liczbę pozostawionych punktów asekuracyjnych. Wydaje się to wpływem wzrastającej popularności wspinaczki skałkowej, preferującej krótkie, szybkie przejścia, o wysokim stopniu bezpieczeństwa i z użyciem minimalnej ilości sprzętu.

Największy odsetek wspinaczek letnich ma rejon Zadniego Mnicha i Żabiej Lalki (po 97%). Nie wiele mniejszy udział mają Żabi Szczyt Wyrżni, Kopa Spadowa, Żabi Mnich, Mniszek i Ministrant (wszystkie po ok. 94%). Najrzadziej w czasie lata odwiedzany jest rejon Cubryny i Turni Zwornikowej (38% wspinaczek).

W Dolinie Gąsienicowej dokonuje się niemal wyłącznie wspinaczek w okresie letnim. Dziewiętnaście na dwadzieścia przejść w tej dolinie przypada na sezony letnie. Najwięcej wspinaczek w warunkach letnich odnotowano na Granatach (ok. 250 przejść w sezonie) oraz Kościelcu i Zadnim Kościelcu (po ok. 220 przejść). Dodając do dwóch ostatnich rejonów liczbę przejść Grani Kościelców to liczba ich wspinaczek przekroczy 310 w jednym sezonie letnim! Znacznie mniej przejść notują pozostałe rejon tej doliny, wśród których przoduje Świnica (ok. 80 przejść). Wzrasta popularność rejonu Granatów, Zadniego Kościelca i Świnicy. Od czterech sezonów spada zainteresowanie wspinaczkami na Kościelcu i Wierchu Pod Fajki.

Na popularność niektórych rejonów wspinaczkowych Doliny Gąsienicowej ma wpływ umiejscowienie COS PZA. Znakomita większość wspinających się to zespoły tzw. kursowe. Doskonałe położenie oraz walory dydaktyczno-szkoleniowe powodują stały poziom frekwencji ww. rejonach.

15 najpopularniejszych dróg w tym rejonie skupia około 83% ilości wspinaczek. Pierwsza piątka dróg wymienionych w tabeli stanowi 43% najpopularniejszej drogi hali 88 dolna tabela ilości wszystkich przejść dokonanych w tej dolinie.

Najbardziej uczęszczane drogi wspinaczkowe w Dolinie Gąsienicowej

Nazwa szczytu	Nazwa drogi	Ilość przejść	Średnia ilość wsp. w roku
KOŚCIELEC I ZADNI KOŚCIELEC	Grań Kościelców	456	108,5
ZADNI GRANAT	Filar Staszła	445	106
ZADNI KOŚCIELEC	WHP 100	432	103
SKRAJNY GRANAT	Środkowe Żebro	413	98,5
SKRAJNY GRANAT	Prawe Żebro	384	91,5
KOŚCIELEC	Stanisławski	296	70,5
KOŚCIELEC	Gnojek	288	68,5
MYLNA PRZEŁĘCZ	Płyta Lerskiego	280	66,5
ŚWINICA	Płn. filar	267	63,5
ZADNI KOŚCIELEC	Załupa H	245	58,5
KOŚCIELEC	Sprężyna	144	34,5
KOŚCIELEC	WHP 114	125	30
WIERCH POD FAJKI	Grań Fajek	119	28,5
ŚWINICA	Grań do Nieb. Przeł.	112	26,5
WIERCH POD FAJKI	Żebro Czecha	103	24,5

Wieści organizacyjne

Zebranie Zarządu PZA

Tradycyjnie od wielu już lat pierwsze powakacyjne zebranie Zarządu PZA odbywa się na Hali Gąsienicowej. Tak było i tym razem. Na pierwszy weekend zjechali niemal wszyscy, włączając w to licznie reprezentowaną Komisję Rewizyjną. Pogoda dopisała nadzwyczajnie, co dało okazję do krótkiego wypadu w nieodległe już góry. Na chwilę przed zebraniem Maciek Pawlikowski w towarzystwie partnera pokonał drogę Leszka Dziędzielewicza na zachodniej ścianie Kościelca, a Andrzej Makarczuk wraz z Wojtkiem Świącickim przeszli tzw. prawego Dorawskiego na północno-wschodniej ścianie Świnicy.

Zebranie w pewnym sensie należało do rekordowych, liczyło sobie 20 punktów porządku obrad i trwało 8 godzin. Głównym tematem były sprawy tatrzańskie: funkcjonowanie obozowisk i COS PZA „Betelejka”, sprawozdanie z letniego sezonu szkoleniowego, sprawozdanie z akcji „junior”, problem osadzania stałych punktów asekuracyjnych oraz perspektywy rozwoju bazy tatrzańskiej. Po długiej i niełatwej debacie, po rozważeniu jak się wydaje wszystkich istotnych argumentów Zarząd postanowił odsunąć przynajmniej na rok zamiar wybudowania własnego ośrodka szkoleniowego i postanowił skoncentrować się na unowocześnieniu „Betelejki”. W tym miejscu warto przypomnieć, że budynek, w którym mieści się COS PZA jest dzierżawiony od TPN, co między innymi oznacza, że wszelkie prace modernizacyjne zarówno na zewnątrz jak i wewnątrz obiektu wymagają akceptacji Dyrekcji Parku.

Spore kontrowersje nadal wywołuje osadzanie stałych punktów asekuracyjnych. Dyskusja dotyczy wyłącznie wątku ideologicznego, gdyż sprawy techniczne zostały już uregulowane przez powołany do tego celu specjalny zespół. Ringi i spity osadzone przez ekipę PZA posiadają atesty wytrzymałościowe i są wykonane ze stali nierdzewnej. Zarząd postanowił przenieść dalszy ciąg debaty na najbliższe zebranie Komisji Szkolenia PZA.

Nieoceniony Bogdanek Jankowski (Bogdan mówi radiowo) złożył relację na temat osiągnięć zespołu ds. łączności. Modernizację sieci radiowej PZA można uznać za zakończoną.

„Betelejka” została wyposażona w nową stację bazową oraz kilkanaście profesjonalnych radiotelefonów przenośnych. Wszystkie aparaty posiadają homologację. Dotychczas stosowane (ciągle nowoczesne) radiotelefony amatorskie zasilają pulę sprzętu obsługującego wyprawy i zgrupowania. To spory sukces, jeśli zauważyć, że pierwsze dwa nowoczesne radiotelefony zostały kupione za oszczędzone pieniądze zaledwie 5 lat temu.

Protokół

zebrania Komisji Rewizyjnej w dniach 2-3.10.1999 r. w Zakopanem

Obecni kol. kol.: Andrzej Zawada, Andrzej Piekarczyk, Andrzej Makarczuk, Leszek Dumnicki.

Komisja Rewizyjna po zapoznaniu się z dokumentami z okresu dotychczasowej kadencji Zarządu oraz po rozmowach ze Skarbnikiem, Główną Księgową i Sekretarzem Generalnym nie stwierdziła nieprawidłowości w dokumentacji finansowej.

Nadto oceniła, iż stan realizacji zadań statutowych Związku nie budzi zastrzeżeń.

Oceniamy również, że rezygnacja Kol. Leszka Cichego z funkcji prezesa nie zakłóciła bieżących prac Zarządu.

*Leszek Dumnicki
Andrzej Zawada
Andrzej Makarczuk
Andrzej Piekarczyk*

W związku z pozytywnym wynikiem badań antydopingowych przeprowadzonych po zawodach o Puchar Świata w Boulderingu w Cortina d'Ampezzo i stwierdzeniem przyjmowania zakazanych środków farmakologicznych, Prezydium Zarządu PZA na zebraniu 10 października tego roku zawiesiło Iwonę Gronkiewicz-Marcisz w prawach zawodnika.

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI


7-dniowy kurs wspinaczki
w "Sokolikach" w/g programu PZA.
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.
Ponadto wspinaczki rekreacyjne
w skałkach i górach.

Instruktorzy PZA:

Bogna Jakubowicz

Piotr Jaśkiewicz

Tomasz Kłiś

Wojciech "Dozent" Wajda 

Informacje i zapisy w sklepie:

50-013 Wrocław
ul. Czysza 7



tel/fax (0-71)72 58 38

e-mail: dozent@onyx.com.pl

CONTENTS

- 1 – PZA – Short history
- 2 – Offer of cooperation
- 3 – Kedar Dome – East face
- 5 – Kongur Shan again?
- 9 – How to get on Pik Lenin AD 1999
- 11 – Marcin on Mt McKinley
- 12 – News from UIAA congress
- 14 – Interview with Bogumił Słama
- 24 – Direttissima of the South face of Mięguszwowiecki Szczyt
- 26 – "Kurnik" – Old cabin
- 28 – New routes
- 30 – Supplement to „Belay and go”
- 31 – Obituaries
- 33 – Letters
- 34 – 50 years of KWK
- 34 – Teaching aid climbing
- 35 – Caves and speleology
- 36 – On what do we climbing
- 39 – News of organization

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208; 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92
e-mail: afklos@friko4.onet.pl

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Świąćicki

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

ALPINIZM - TURYSTYKA

*Polecamy
w szerokim zakresie:*

- ❖ Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- ❖ Literaturę górską
- ❖ Obuwie turystyczne
- ❖ Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

Instruktaż i szkolenie w zakresie technik alpinistycznych.

Sklepy prowadzą alpinistów i grotolazę

Wrocław: ul. Czysza 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

SKLEP FIRMOWY

ul. K. Szajnochy (róg Gepperta), tel. (071) 72-36-31

CAVE
SPORT



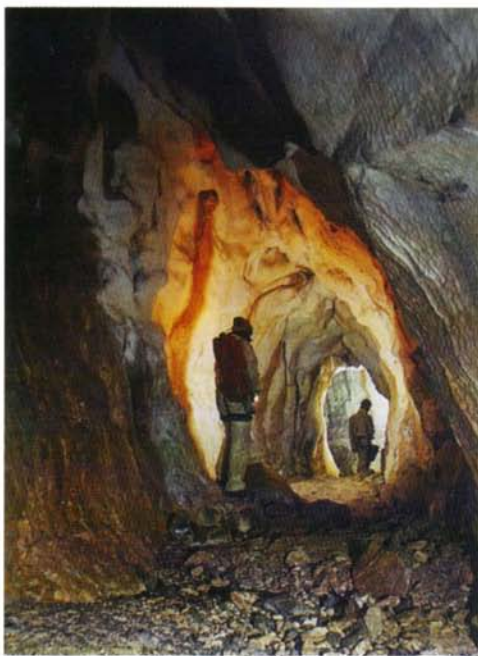
 alpinus

Jelenia Góra: ul. Krótka 3

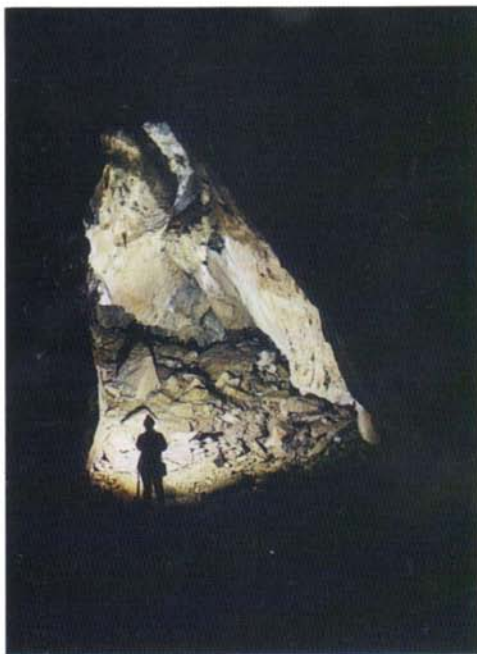
Zapraszamy

Dla stałych klientów niższe

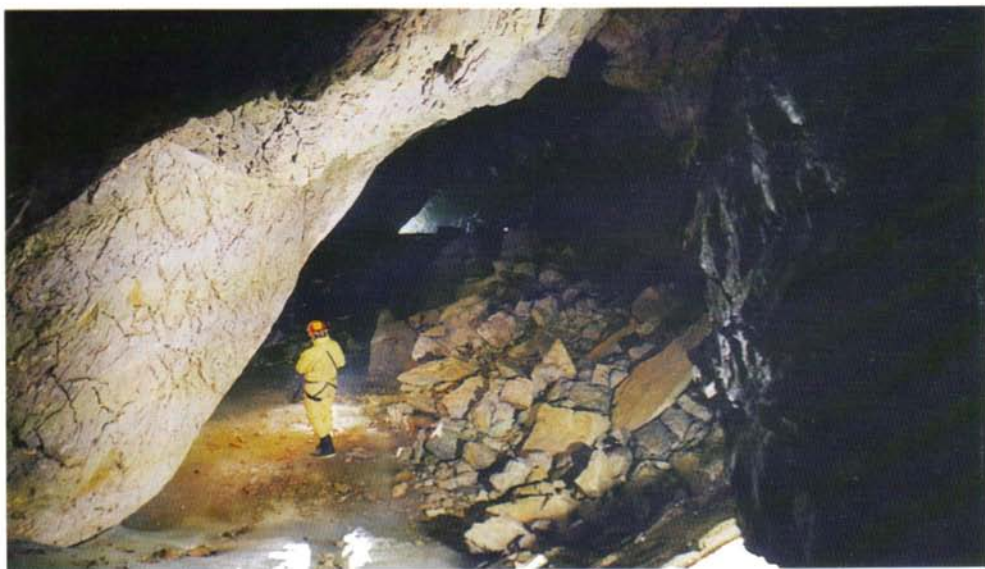
Z albumu Pawła Krzyszковского



W Jaskini Naciekowej



W Jaskini Czarnej



Jaskinia Lodowa w Ciemniaku